

nadodrze

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 630

ZIELONA GÓRA 19 II — 4 III 1989 R.
POK XXXIII NR 4 [687] CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



M. JACKSON
o sobie (3)

DOLCE VITA
PREZESA

Dzieci SPÓD ZNAKU RYB
KOSMOSU



Wasza córka
jest wiedznią

SCENY
miłosne



Z dziejów Polski Ludowej

Spełnione dziedzictwo

Jan Golec

Po zakończeniu działań wojennych Kościół katolicki przystąpił do organizacji życia religijnego na Ziemiach Odzyskanych. Ani na chwilę nie zapomniano, że niedługo na tych ziemiach istniały diecezje zależne od Gniezna. Niektóre z nich jak kamieńska i lubuska przestały istnieć na skutek nacisków protestantyzmu i sekularyzacji. Ostała się wszakże diecezja wrocławska utworzona jednocześnie z metropolią gnieźnieńską i jej podporządkowana. Ten związek kościelny trwał przez ponad 800 lat. I chociaż Prusy zaważowały Śląskiem w 1742 r., to jednak przez długie lata nie zdołały wykorzystać tu katolicyzmu pomimo wielokrotnych i usilnych zabiegów. Dopiero bulla „De salute animarum” z 1821 r. uznała bezpośrednią zależność Wrocławia od Stolicy Apostolskiej. Stało się to wszakże dzięki intrygom rządu pruskiego, ale tak długa tradycja polskości nad Odrą ma przecież swoją wymowę.

Za początek powojennej polskiej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych przyjmuje się datę 15 sierpnia 1945 r. W tym dniu kardynał August Hlond dokonał nominacji 5 administratorów apostolskich i określił obszary, na jakich każdemu z nich powierzył jurysdykcję kościelną. Ks. K. Milik sprawował ją na Dolnym Śląsku, ks. B. Kominek — nad woj. śląsko-dąbrowskim, ks. E. Nowicki — nad diecezją gorzowską, ks. A. Wronka — nad gdańską i chełmińską, ks. T. Miś — nad warmińską. Choć początek polskiej organizacji kościelnej na obszarach północnych i zachodnich Polski przypada na połowę sierpnia 1945 r., to jednak i przed tą datą miały miejsce przypadki obejmowania przez polskich księży i wykonywania przez nich posług religijnych dla znajdujących się tam i napływających nieprzerwanie ludności polskiej. Na tym też dochodziło do spieczętowania duchownymi katolickimi a nie-niemieckimi. Bardzo charakterystycznym dokumentem obrazującym postawę kleru niemieckiego wobec powrotu Polaków na ziemię nad Odrą, Nysą i Baltykiem jest biuletyn kurii arcybiskupiej we Wrocławiu pod tytułem „Mitteilungen des Römisch-Katholischen Geistlichen des Erzstifts”, „Commissariates Breslau”. Autor, dr K. Metzger z ubolewaniem stwierdził, że „administratorzy nie są narodowości niemieckiej”, stąd też księża niemieccy nie chcieli uznać administracji polskich duchownych. Z drugiej zaś strony, K. Metzger powoływał się na to, że nowi administratorzy apostolscy przyrzekli księżom niemieckim, iż będą sprawować swój urząd w miłości i sprawiedliwości. Bezpośrednio po II wojnie światowej na ziemiach odzyskanych zamieszkiwało ponad 2 mln

katolików i około 4 mln ludności innych wyznań. W latach pięćdziesiątych sytuacja zmieniła się radykalnie, katolicy stanowili ponad 90 proc. ludności.

Problem stabilizacji administracji kościelnej na zachodnich i północnych obszarach Polski uzyskał odpowiedź nie miejsce w porozumieniu zawartym w 1950 r. między przedstawicielami rządu polskiego i episkopatu. Episkopat zobowiązał się do wyjednania w Watykanie decyzji przyznającej status biskupstw rezydencjalnych dla dotychczasowych administracji we Wrocławiu, Opolu, Gorzowie i Olsztynie. Treść tego zobowiązania ujęta była następująco: „Episkopat polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne, jak i sprawiedliwość dziejowa, wymagają, aby Ziemię Odzyskaną na zawsze należały do Polski. Wychodząc z założenia, że Ziemię Odzyskaną stanowią nieodłączną część Rzeczypospolitej, Episkopat zwrócił się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administrację kościelną korzystającą z praw biskupstw rezydencjalnych na Ziemiach Odzyskanych, były zmienione na stałe ordynariaty biskupie”. Episkopat nie uzyskał wówczas odpowiednich decyzji Watykanu.

Trwający od 1945 r. stan tymczasowości (brak regulacji formalnoprawnej) administracji kościelnej na zachodnich i północnych ziemiach Polski został zakończony w dniu 28 czerwca 1972 r. za pontyfikatu Pawła VI. Tego dnia opublikowany został w Watykanie komunikat o nominacji pełnoprawnych biskupów ordynariuszy w diecezjach na Ziemiach Odzyskanych. Nastąpiło to po ratyfikacji Układu o normalizacji stosunków między Polską a RFN zawartego w dniu 7 grudnia 1970 r.

Stanowisko Kościoła nie odbiega od przekonań narodu. Ziemię zachodnią i północną przypadły Polsce decyzją mocarstw sojuszniczych w Poczdamie z potrójną motywacją: 1) względami bezpieczeństwa w tym rejonie Europy; 2) prawem narodu polskiego do egzystencji; 3) odszkodowaniem za wyrządzone Polsce krzywdy. Przypomnijmy stanowisko Kościoła, określone w orędziu biskupów polskich wydanym z okazji 20-lecia polskiej organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych: „W poczuciu widomej interwencji Bożej stoimy dzisiaj, zachowując jednolite stanowisko wszystkich Dzieci Narodu, które bez względu na orientację polityczną i światopoglądową, uważają, że Ziemię Zachodnią w myśl przyrodzonej sprawiedliwości są nieodłącznie związane z Macierzą. Tak myślimy i to wyznajemy”.

Zasieg oddziaływania Kościoła katolickiego w pierwszych latach po wojnie był ogromny. Stowarzyszenia katolickie skupiły około 500 tys. osób, a liczba działających w całym kraju chorów przykościelnych, bractw różańcowych, stowarzyszeń dochodziła do 5 tys. Organizowane przez Kościół akcje skupiały setki tysięcy ludzi. Księża, zwłaszcza na wsi, posiadali duże możliwości mobilizowania opinii i działań ludności, różnie wykorzystywane. Władza, widząc w Kościele przeciwnika ideologicznego, starała się jednak respektować uczucia religijne i przywiązanie do tradycji chrześcijańskich. Stąd pieśń „Kiedy ranne wstają zorze” rozpoczynała program Polskiego Radia, dostojnicy państwowi uczestniczyli w nabożeństwach religijnych. Komuniści zdawali sobie sprawę, iż naród polski jest katolicki, przywiązany do swych wier, łączy się z tym różnego rodzaju formy obyczajowe, święta, obrzędy, śpiewy itp. Chrześcijańskie wierzenia w Polsce stały się już formą kultury polskiej. Byłoby nonsensem li kwidować to wszystko. Przecież, jak wyznał Bierut i „ja muszę czasami chodzić do kościoła, niedawno na procesji Bożego Ciała w Warszawie prowadziliśmy razem z Żymierskim pod ramię kardynała”.

W latach 1945-1950 na ziemię zachodnią i północną przybyło 663 księży (w tym 425 repatriantów z ZSRR i 24 z Zachodu, zaś z poszczególnych diecezji od kilku do kilkunastu). Cechą znaną tamtych lat była zbieżność interesów państwa i Kościoła na Ziemiach Odzyskanych. Wtedy to miały miejsce wielkie zgromadzenia

FASCYNACJA POLSKĄ

Z dr Michałem Foedrowitzem,
członkiem Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Hanowerze
rozmawia Romuald Szura.

— Poznałem Pana w RFN jako młodego historyka zajmującego się stosunkami niemiecko-polskimi, rozczłanionego w polskiej literaturze historycznej. Pozwoli Pan jednak, że naszą rozmowę zaczniemy od akcentów nieco prywatnych. Podczas jednej z manifestacji antywojennych w ub. roku, przemawiając do wielotysięcznego tłumu, stwierdził Pan, że 1 września 39 r. Niemcy nie tylko rozpoczęli wojnę, lecz także w tym dniu zawierają związki małżeńskie. Skąd ta myśl?

— Nie jest to moje zdanie. 1 września 1984 roku, z okazji mego ślubu w Dębnie Lubuskim, w województwie gorzowskim, słowa te wygłosił polski ksiądz do swoich wiernych. Powiedział, że nareszcie wszyscy mogą przekonać się namiętnie, iż 1 września Niemcy nie tylko rozpoczęli wojnę, lecz także wstępują w związki małżeńskie na polskiej ziemi. Wypowiedź ta bardzo mnie poruszyła. Dlatego cytowałem ją w moim przemówieniu do uczestników manifestacji antywojennej.

Kiedy moi znajomi dowiedzieli się, że mam zamiar ożenić się z Polką, zaczęli mnie wypytwać, jaką jest dziewczyna. Czy jest na przykład religijna. Powiedziałem, że jest katoliczką, że chodzi do kościoła. Usłyszałem wtedy: „Ach, tak, Michaś, wybrałeś sobie opiekunkę cudzoziemkę”. I musiało upłynąć trochę czasu, żeby moi przyjaciele doszli do przekonania, że nie mają racji. Zgodnie z polskim przysłowiem: Mąż, jest głową, ale żona szyją, która tą głową kręci, mamy tu do czynienia z utajonym matriachatem, który posiada swój historyczny rodowód. Mężczyźni walczyli w powstaniach narodowych, nawet poza granicami kraju o wyzwolenie Polski spod obcego panowania, a kobiety pozostawały same w domach. Musiały pracować na polu, w fabrykach, troszczyć się o sprawy codzienne swych rodzin. Nieraz obserwuję moją żonę i wiem, co mi się w niej podobia. Jest pewna siebie, zna granice swoich możliwości... Przywozła tutaj pewne trwałe wartości, takie jak: religia, tradycja, historyczna świadomość, miłość ojczyzny, patriotyzm... To ją umacnia wewnętrznie, to daje jej pewność siebie. I pozwól sobie zauważyć, że pod tym względem wiele niemieckich kobiet pozbawionych jest tzw. korzeni,

często nie posiada swojej narodowej czy też osobowej tożsamości.

— Ale wróćmy do Pana pracy naukowej, której tytuł brzmi: „Niemieckie organy bezpieczeństwa oraz instytucje wykonawcze w Generalnej Guberni w zwalczaniu polskiego podziemia 1939 — 1945”.

— Ma pan rację. Zajmuję się wybranymi zagadnieniami z historii Niemiec i Polski, dotyczącymi szczególnie narodowego socjalizmu i wojny, oraz powojennymi reperkusjami tych zjawisk. Moje zainteresowania obejmują okres od 1918 do 1956 roku. Materiały do wspomnianej przez pana pracy zbierałem w RFN — podobnie jak to czyni historyk — w różnych archiwach, w kancelariach adwokatów czytałem materiały z licznych rozpraw sądowych, głównie procesów SS-manów.

Trzy miesiące spędziłem również w Warszawie. Pracowałem tam w archiwach, m.in. Głównej Komisji do Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, w Archiwum Państwowym i Akt Nowych. Rozmawiałem też z naczelnymi świadkami wydarzeń, z historykami, dziennikarzami... W pracy mojej, przygotowanej do druku, omawiam przede wszystkim działalność niemieckiej policji i służby bezpieczeństwa, policji specjalnej i tzw. gospodarczej podczas okupacji w Polsce, ich strukturę, organizację, sposoby postępowania, metody „zwalczania przeciwnika” techniczne środki pomocnicze, różne doktryny istniejące wewnątrz aparatu policyjnego, mentalność rodzin policjantów i niektóre akcje policji.

Szkoda, że istnieje tak mało zainteresowanie tą problematyką w RFN. Prawdopodobnie nikt poza mną nie rozprawia się z tą przeszłością, a historyków i publicystów, którzy czynnie zajmują się tym u nas, można policzyć na palcach obu rąk.

— Jak się zorientowałem, jeden z rozdziałów swojej książki poświęcił Pan generałowi Stefanowi Grotowi-Rowcekiemu?

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Porucznik Borewicz z psem Cywilem

W styczniową noc 1989 roku w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Zielonej Górze oficer dyżurny odbiera meldunek z urzędów rejonowych. Nad ranem sporządza raport.

W stolicy województwa: przy ulicy Krośnińskiej złodziej dopasowanym kluczem otworzył małego fiata i wymontował radio.

Podobny przypadek miał miejsce na parkingu strzeżonym przy Gwardii Ludowej; tym razem zniknął akumulator z dużego fiata.

Przykrą niespodzianką przeżył gość hotelowy „Śródmiejskiego”, gdy stwierdził, że pod jego nieobecność włamano mu się do pokoju i skradziono odzież oraz inne przedmioty ogólnej wartości jednego miliona złotych.

W Świebodzinie: przy ulicy Poznańskiej mały fiat z trzema mężczyznami wewnątrz, uderzył w tył zaparkowanej i oświetlonej przyczepy samochodowej. Kierowca, prawdopodobnie nieprzytomny, zbiegł.

Kilka ulic dalej stał sobie popielaty trabant; skradziono go.

W Ślawie: włamanie do restauracji GS „Kormoran”. Sprawca otworzył sobie drzwi wybijając przedtem w nich szybę. Wszedł do bufetu, zabrawł znajdujące się w szufladzie 500 złotych, po czym z sali restauracyjnej skradł kilkanaście butelek alkoholu.

W Żarach: zgwałcenie siedemnastoletniej dziewczyny; sprawcy zostali ujęci.

Tak przedstawia się milicyjny bilans jednego ze zwyczajnych, przeciętnych dni w województwie zielonogórskim. Osiem przestępstw, w tym sześć kradzieży, z czego cztery dotyczą samochodów.

Nawet tak wykrywkowa mini-statystyka wskazuje wyraźnie to, co w tej chwili jest społecznie bardzo dolegliwe, a co dominuje wśród przestępstw — i czym głównie musi się teraz zajmować milicja, mianowicie: tropieniem włamywaczy i złodziei. A jest ich, niestety, coraz więcej!

Byłoby mniej, gdyby ludzie lepiej pilnowali swych własności. Dotyczy to aktualnie przede wszystkim właścicieli pojazdów. Nie darmo uczy przysłówie, że okazja stwarza złodzieja.

Gina więc samochody — i z samochodów wszystko, co tylko da się wymontować, a następnie sprzedać. Przy obecnych, znanych posiadaczom wózków, trudnościach z nabyciem części samochodowych w sklepach, złodzieje nie mają najmniejszego kłopotu ze sprzedażą czegokolwiek.

Na przykład — niech ktoś normalną drogą spróbuje kupić nowy akumulator. Nie kupi. Czas oczekiwania, aż „rzucą coś do sklepu”, bywa niekiedy wprost absurdalny. Kupuje się więc okazjonalnie, nie wiedząc, że rzecz została skradziona.

Rosnie liczba włamań do szkół, klubów, przedszkoli i innych miejsc, w których znajdują się radia, telewizory, magnetofony i aparaty video. Także i z tym sprzętem złodziej nie ma kłopotu...

Coraz częściej zgłaszane są kradzieże i włamania do mieszkań, zwłaszcza do stojących indywidualnie jednorodzinnych domów. Tu, poza biżuterią — także pozostawianą lekkomyślnie bez zabezpieczenia, i pieniędzmi, trzymanymi w domu czasem w wielkich ilościach, łupem pada wszystko: od drobnych cennych przedmiotów — po obrazy, aparaty radiowe i telewizyjne, dywany, meble.

Sprawcy bywają wyjątkowo bezczelni. Wydaje się nie do wiary, ale to fakt. Podjeżdżają wozami pod sam dom i ładują wszystko, czasem na oczach nieczujnego nie domyślającego się sąsiada.

Lokatorzy w bloku, czasem nawet mieszkający w tej samej klatce schodowej, nie znają się i nie o sobie nie wiedzą. Podobnie mieszkańcy osobnych domków. Mamy więc efekty tak upragnionej kiedyś i lansowanej „anonimowości życia”...

Na wsłuch — włamania do sklepów z alkoholem. W miastach — wybijane nocą szyby sklepowe. Chłopak jeden lub kilku, działają szybko: kradną z okna co podłogi i uciekają. W sklepach samoobsługowych grasują drobni złodziejaskowie i kieszonkowcy. Te przestępstwa nasiliły się od listopada ub. roku.

Niepokojącym jest fakt, iż ponad dwadzieścia procent sprawców ustalonych, stanowią nieletni. Przy tym granica wieku młodych przestępców obniżyła się wprost niewiarygodnie. Nie tak dawno pisałam o włamaniach i kradzieżach do szkół i przedszkoli. Sprawcami byli kilkuletni chłopcy. W jednym przypadku skradł kilka zabawek...

Świadczy to o nieskutecznych sposobach wychowawczych w domach rodzinnych i szkołach oraz w organizacjach, które mają za zadanie wychowywać młodych.

Jakie sposoby można podpowiedzieć rodzicom — zagonionym i znerwicowanym? Czego wymagać od nauczycieli, których praca opłacana jest tak niską?

Czas w których żyjemy i otaczające nas realia nie sprzyjają kształtowaniu się młodych charakterów. „Siódme — nie kradnij” — przypominali dziadkowie naszym ojcom. A my? W naszych komputerowych czasach przykazanie to, i nie tylko to, poszło do lamusa...

Dzieci od najmłodszych lat zdobywają szczególną wiedzę: że tylko niekiedy coś się kupuje, a zazwyczaj się „zalatwia”. O wartościach wyższych słyszą mało albo wcale nie. Rosną nie tylko w kryzysie ekonomicznym, ale też w kryzysie idei, pracy, obowiązku. Nie pozostaje to bez wpływu na to, co potocznie nazywamy — wychowaniem. Wszystko się rozluźniło, wszystko stoi na głowie. W tej sytuacji szkoły ledwie że uczą. A organizacje, jak ZHP, ZSMP czy inne? Te mają własne kryzysy...

Powracając do pojazdów, to w samej tylko Zielonej Górze jest ich zarejestrowanych blisko 16 tysięcy. Gdy samochód nagle zginie, nasuwa się pierwsza myśl: co ta milicja właściwie robi, dlaczego nie pilnuje?

Właśnie. Nie do pomysłenia jest, by każdego placu, każdego skrawka ulicy i chodnika, gdzie ludzie parkują samochody, pilnował milicjant. Garaży i parkingów strzeżonych nie starcza. Co robić, by ustrzec się przed kradzieżami?

Nie nowy to pomysł, by organizować dyżury: co noc ktoś inny, pojedynczo lub we dwóch, pilnuje wszystkich wozów stojących pod blokiem. Innym wyjściem jest zaangażowanie dozorców i opłacanie go wspólnymi siłami, ze składek.

Milicja ze swej strony pragnie służyć pomocą i radą tak przy organizowaniu bezpieczeństwa samochodom, jak i mieszkańom oraz wszelkiemu mieniu społecznemu.

O tym wszystkim mówiono na niedawnej konferencji prasowej Szeffa WUSW w Zielonej Górze płk. Mieczysława Chęcińskiego.

Zastępca Szeffa do spraw MO płk. Czesław Strawa poruszył temat tzw. wnętrza resortu. Odczuwalna już wyraźnie jawność życia zawitała również i tu. Okazuje się, że jak wszędzie, tak i w milicji nie brakuje trudności kadrowych.

Być milicjantem, to nie tylko ścigać i prowadzić efektowne akcje, jak w filmie. To także transportować nieprzytomnych pijaków do Raculi. Brońć dzieciernie powierzone przez tatusiów — alkoholików. Występować raz w roli mediatora, raz wykładowcy. Wykonywać różne niepopularne czynności, wysłuchując przy tym epitetów pod własnym adresem. Przy tym dyscyplina jak w wojsku i odpowiedzialność podwójna: przed zwierzchnictwem i społeczeństwem.

Wymagania duże, płace wprost przeciwnie. Opowieści o wysokich zarobkach w MO mijają się z prawdą. Jest rotacja. W Żarach młody milicjant już po trzech dniach służby poprosił o zwolnienie, ponieważ znalazł sobie pracę lepiej płatną. Różnica wynosiła 30 tysięcy...

Młodzi odchodzą. Dlaczego? Ponieważ nie widzą szans na spełnianie życiowych aspiracji. Mimo to wielu jest takich funkcjonariuszy, którzy potrafią służyć łączyć z pracą społeczną dla środowiska. We wsi Siedlec koło Wolsztyna milicjant w randze starszego sierżanta sztabowego przewodniczy GRN. Gdzieś podobno inny jest sołtysem. W ostatnich wyborach do rad narodowych 28 mandatów powierzono funkcjonariuszom MO.

Milicjant jak ksiądz — albo lekarz czy nauczyciel, najlepiej gdy trafia do tej pracy z powołania. Dobrych wzorców nie brakuje, np. ekranowy porucznik Borewicz tropiący groźnych handlarzy krepłina... Kto wie, może dojdzie do tego, że wzorcami w naszych warunkach będą także Dempsey i Makepeace, Kojak i inspektor Derrick?...

Na razie polski gmina jest najczęściej skrzyżowaniem Sherlocka Holmesa z psem Cywilem Tym żartobliwym stwierdzeniem chcę wskazać, że w słowie „gmina”, bo tak się milicjantów nazywa, jest tyle samo niechęci i pogardy, co życzliwości i sympatii. Co byśmy bez nich robili?

HA

Nagroda „Ziemi Gorzowskiej”

Zespół Redakcji zaprzyjaźnionego z nami tygodnika „Ziemia Gorzowska” przyznał już po raz siódmy wyłonioną w drodze plebiscytu czytelników pod hasłem „Znany a nie Znany” nagrodę pisma. Pierwszym laureatem tej nagrody był dr Tadeusz Podbielski z Międzyrzecza. Obecnie lista laureatów liczy już siedem nazwisk. Ostatnie wyróżnienie za 1988 rok spotkało psychologa Jerzego Jaworskiego, kierującego gorzowską poradnią odwykową przy Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej — założyciela i jednego z głównych animatorów społecznego ruchu antalkoholowego. Dzięki jego staraniom oraz społecznej pracy grona osób zaangażowanych w ten ruch wiele gorzowskich rodzin odzyskało spokój i szczęście rodzinne, a liczni alkoholicy znaleźli drogę odwrótu od nalogu. Symbolem Nagrody jest statuetka i dyplom, które zostały wręczone laureatowi przez wojewodę gorzowskiego Krzysztofa Zarębę i redaktora naczelnego „Ziemi Gorzowskiej” Macieja Woźnego, w obecności władz wojewódzkich i miejskich oraz dziennikarzy i działaczy.

Wybory w ZLP

W zielonogórskim oddziale Związku Literatów Polskich wybrano nowe władze. Oddział skupia 13 osób zajmujących się twórczością literacką. Podczas zebrania sprawozdawczo-wyborczego literaci do konali podsumowania kadencji 1986—1989 i ustalili program działania oddziału na najbliższe trzy lata. W tym czasie zielonogórscy literaci wydali 15 tomów prozy i poezji, zrehabilitowali kilka almanachów, byli organizatorami Dni Literatury Radzieckiej zorganizowali symposium poświęcone Bronisławowi Wajsb-Papusz — poetce pochodzenia cygańskiego, uczestniczyli w blisko dwustu spotkaniach z czytelnikami. Utworzyli pisarzy lubuskich byty tłumaczone na języki: białoruski, litewski, łużycki, rosyjski i niemiecki. W uznaniu zasług dla kultury regionu i przywrócenia polskości na Ziemi Lubuskiej — Halina Lubicz, Michał Kaziów, Janusz Koniusz, Bronisław Sużanowicz i Henryk Szykkin otrzymali Medale Rodła. Na czele nowego zarządu zielonogórskiego oddziału ZLP stanął ponownie Janusz Koniusz. Przewodniczącym komisji rewidacyjnej został Wiesław Sauter. Wybrano także delegatów na zjazd ZLP. Zielonogórskie środowisko literackie reprezentować będą: Tadeusz Kajan-Jankowski i Alfred Siatecki.

Nowe władze ZSMP

Odbyły się wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze w Gorzowie i w Zielonej Górze. W dyskusji poddano krytycznej ocenie dotychczasowy stan organizacji, która, jeśli się w niej nie zmieni, dążyć będzie do samo likwidacji. Mówiono też o konieczności radykalnych i szybkich zmian. ZSMP może sprostać oczekiwaniom i ambicjom młodzieży pod warunkiem, że

stanie się organizacją nowoczesną, konkurencyjną i atrakcyjną, mającą własne oblicze. W Gorzowie przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego ZSMP został Marek Cieciora. W Zielonej Górze wojewódzką organizacją kierować będzie dotychczasowy przewodniczący ZW — Ryszard Adam.

Muzeum w zabytkowym spichlerzu

Kulminacyjnym akcentem obchodów 44 rocznicy wyzwolenia Gorzowa było otwarcie orestaurowanego zabytkowego spichlerza nad Wartą, w którym znalazł pomieszczenie nowy oddział Muzeum Okręgowego. Symboliczne przekazanie kluczy przez wojewodę gorzowskiego Krzysztofa Zarębę dyrektorowi muzeum Zdzisławowi Linkowskiemu stało się uświetnieniem wielu letnich starań konserwatorów, muzealników i działaczy kultury o odzyskanie tego osiemnastowiecznego zabytku, unikalnego pod względem konstrukcyjnym, architektonicznym. W nowej roli spichlerz służyć będzie kulturze jako placówka ekspozycyjna, badawcza i dydaktyczna. Znalazły się tutaj stałe wystawy sztuki współczesnej, wystawa historyczna „Warta — świadek dziejów” oraz czasowa wystawa „Skarby archiwum gorzowskiego”. Obecna na uroczystości wiceminister Kultury i Sztuki Krystyna Marszałek-Młyniec udekorowała Zdzisława Linkowskiego Złotą Odznaką „Za opiekę nad zabytkami”. 9 osób otrzymało odznaki honorowe „Za Zasługi dla województwa gorzowskiego”.

Mało przedszkoli

Oblicza się, że już około 60 procent dzieci w wieku od 3 do 6 lat objętych jest w województwie zielonogórskim wychowaniem przedszkolnym. Oznacza to jednocześnie, że znaczna liczba dzieci pozostaje nadal pozbawiona opieki przedszkolnej. Najtrudniejsza sytuacja jest w środowisku wiejskim. W 1987 roku utworzono w województwie 688 miejsc przedszkolnych, ale już w roku następnym tylko około 450. W roku bieżącym sytuacja ma ulec wyraźnej poprawie. Przewiduje się bowiem oddanie jednego tysiąca miejsc dla dzieci. Łącznie do końca br. zostanie wybudowanych 13 nowych przedszkoli. Kłopoty wynikają także z braku kadr. W województwie brakuje 258 nauczycielek przedszkoli. Powodem jest brak mieszkań. Oblicza się, że w małych miejscowościach 809 nauczycieli nie ma własnego dachu nad głową.

Cigacice — port

Był tam kiedyś, ale w związku z euforyczną koncepcją rozwoju naszej gospodarki uległ likwidacji. Wraz ze wzrostem zainteresowania Odrą jako drogi wodnej zrodziła się ponowna szansa. W najbliższym czasie głogowski oddział Przedsiębiorstwa Budownictwa Hydrotechnicznego Odra-2 skończy budowę nowego stumetrowego nadbrzeża, na którym stanie nowy dworzec, a do portu doprowadzona będzie bocz

nica kolejowa. Budowa ta wiąże się z projektowaną spółką „Rolimpeksu”. „Zegluga na Odrze” i WRN w Zielonej Górze. „Rolimpeks” przejął teren i obiekty dawnej przesyłowni cementu, stworzył tam magazyny zbożowe i zamierza złożyć z nadodrzańskich pól zbożo- i Cigacice barkami. „Zegluga na Odrze” zainteresowana jest transportem węgla z Cigacice do Berlina Zachodnie go.

Wystawa GTF

Już od 34 lat obchody rocznicy wyzwolenia Gorzowa uświetniają doroczne wystawy Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Mają one charakter konkursowy. Nadesłane prace ocenia jury składające się w większości z członków ZPAF. W tym roku pierwszą nagrodę przyznano Lechowi Dominikowi za cykl fotografii „Rytm”, drugą Piotrowi Perczyńskiemu za „Jesiennie impresje”, trzecią Stawomirówi Sajkowskiemu za zdjęcie pt. „Samochód”. Laureatami nagród specjalnych zostali: Jarosław Biernacki — nagroda im. Zbigniewa Łackiego — za portret „Papuś”, Piotr Perczyński — nagroda im. Konstantego Ludwikowskiego — za pejzaż, Leonard Olechnowicz — za architekturę, Ryszard Tomczuk — za reportaż pt. „Zręb” oraz Andrzej Miłosz za barwne przeźrocza.

Prezydent Nowej Soli

Nowa Sól otrzymała z dniem 1 stycznia br. prawa miasta prezydenckiego. Pierwszym prezydentem Nowej Soli został dotychczasowy jej naczelnik, Kazimierz Kęs. Były mieszkaniec Opola, tam ukończył studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Po studiach podjął pracę w Zakładach Ceramiki Budowlanej, w 1978 roku podjął pracę w nowosolskim „Do zamieści”. W 1981 roku wybrany został sekretarzem KZ PZPR. W dwa lata później podjął pracę w Urzędzie Miasta w Nowej Soli na stanowisku zastępcy naczelnika. Jesienią 1984 roku MRN wybrała go na stanowisko naczelnika miasta.

Udany debiut

Paweł Sakowski, uczeń LO w Choszczynie został jednym z

laureatów ogłoszonego przez warszawski Teatr Ochoty konkursu na sztukę teatralną. Jest autorem komedii pt. „Te stament”. Kontakt z Teatrem Ochoty przyniósł Pawłowi jeszcze jeden sukces: został zakwalifikowany na warsztaty aktorskie prowadzone przez ten teatr. Uczestniczy w nich i przygotowuje się do egzaminów w szkole aktorskiej. Życzymy powodzenia!

Gorzowski as sportu

Zakończyła się gorzowska edycja XIII Plebiscytu „Gazety Lubuskiej” na dziesięciu najlepszych sportowców województwa gorzowskiego 1988 roku. Z woli czytelników, którzy nadesłali 4057 ważnych kuponów, tytuł asa sportu przypadł wicemistrzowi olimpijskiemu w kolarskim wyścigu drużynowym na 100 km — Zeronowi Jaskule. W dalszej kolejności uplasowali się: Piotr Swist (Stal Gorzów, żużel), Maria Gontowicz-Szałas (AZS AWF Gorzów, judo), Edward Piech (LKS POM Strzelce, kołarstwo), Piotr Diakonów (Stilon Gorzów, piłka wodna), Ryszard Francyszyn (Stal, żużel), Witold Roman (Stilon, siatkówka), Izabela Bialek (Grunwald Choszczyno, badminton), Józef Pawlak (Stilon, piłka wodna) i Beata Wiecezorek (Stilon, koszykówka).

Zaprosili nas

Miejska Rada Narodowa i Prezydent Miasta na uroczysty koncert z okazji 44 rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystawy malarstwa i grafiki Marka Żulawskiego (1908—1985) ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem; Lubuskie Towarzystwo Naukowe i Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry na otwarcie wystawy pn. „XXV lat LTN 1964—1989” w Salonie Wystawowym WIMBP w Zielonej Górze; Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wlkp. na premierę sztuki „Machina teatralna” Mauricea Yendta; Oddział Miejski PAX w Zielonej Górze na prelekcję „Prawne aspekty przerywania ciąży”; dyrekcja ZWP i sekcja brydża sportowego „Drukarz” na Noworoczny Turniej Brydżowy Par. Dziękujemy.

Do Czytelników!

Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe informuje, że od nr 5 czyli najbliższego zmieniona zostanie cena dwutygodnika „Nadodrza” z 40 na 60 złotych.

Podniesienie ceny jest konsekwencją wzrostu już dokonanych, a także przewidywanych kosztów niezależnych od wydawcy. Koszt wyprodukowania 1 egz. „Nadodrza” oraz jego kolportaż w 1988 r. wyniósł 74,4 zł, natomiast w 1989 r. wyniesie około 105 zł. Oznacza to, że dotychczasowa strata 34,74 zł na każdym egzemplarzu zwiększy się do 45 złotych. Deficyt ten pokrywany będzie z innych rodzajów działalności gospodarczej Wydawnictwa. Prenumeratory indywidualni otrzymywać będą „Nadodrza” na dotychczasowych warunkach.

Liczymy na zrozumienie wszystkich dotychczasowych Czytelników „Nadodrza”. Redakcja natomiast dołoży starań, aby pismo było bardziej atrakcyjne.

LUBUSKIE PERSONALIA

RYSZARD ADAM, lat 29 (znak Koziorożec) żona Krystyna, geodeta, trzyletni syn Michał, studia na Wydziale Historii w WSP w Zielonej Górze. Poddyplomowe studium d.s. ka drowych. Członek PZPR, od 1978 r. Członek prezydium rady wojewódzkiej LZS. Pierwsza praca w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Rakoniewicach. Od 1983 r. pracuje w Zarządzie Wojewódzkim ZSMP w Zielonej Górze: najpierw na stanowisku kierownika Wydziału Organizacyjnego, od 16 stycznia 1985 roku jako wiceprzewodniczący ZW i od 14 stycznia 1988 r. jako przewodniczący. Mieszka w Sulechowie i do pracy dojeżdża. Pasjonuje się historią, grą w piłkę nożną i siatkówką. Lubi muzykę poważną, zwłaszcza Mozarta. Nie zna si bezczynności i stereotypów. Najwięcej u ludzi ceni rzetelność, słowność i konsekwentne postępowanie. Podczas Wojewódzkiej konferencji delegatów,

wybrany został ponownie przewodniczącym ZW ZSMP w Zielonej Górze.

JANUSZ KOZŁOWSKI, lat 44 (znak Koziorożec). Ukończył polonistykę w Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu, następnie Wydział Reżyserii w Państwowej Szkole Teatralnej w Warszawie. Związany z teatrami w Białymostku, Olsztynie, Szczecinie, Grudziądzu, ostatnio z Teatrem im. J. Osterwy w Gorzowie. Interesuje się przede wszystkim dramaturgią współczesną. Reżyserował dotychczas m.in. takie sztuki jak: „Czekając na Godota” Becketta, „Laznia” Majakowskiego, „Różewica” „Stara kobieta wysiaduje” i „Pułapka” Mrożka. Hobby: teatr — oraz wszystkie dziedziny sztuki. Lubi słuchać muzyki (za wyjątkiem operowej), czytać dobre książki — także prasę (w tym „Nadodrza”), a przede wszystkim „Szpilki”, choć jego zdaniem stają się coraz mniej satyryczne. Największą wartość upatruje w samym fakcie istnienia życia na ziemi. Za najważniejszą w życiu uważa stosunki międzyludzkie. Razi go głupota

ta, złośliwość i jak mówi „uleganie zwierzęcym instynktom”. Aktualnie w Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze przygotowuje (po raz pierwszy sięgając do klasyki) „Balladę” Słowackiego. Premiera 18 marca br. na dużej scenie.

RYSZARD WILMIŃSKI, lat 38 (żona Jolanta, nauczycielka wychowania muzycznego w Szkole Podstawowej nr 8 w Gorzowie, Joanna (l. 6) i syn Łukasz (l. 3), samochód Fiat 126p, (wiasność żony), absolwent prawa na UAM. B. radca prawny Urzędu Powiatowego w Myśliborzu, b. inspektor Wydziału Kontroli i Instruktażu UW w Gorzowie Wlkp., b. dyrektor Ośrodka Sportu i Rekreacji w Myśliborzu, od 1978 r. ponownie w Gorzowie, gdzie pracował w Wydziale Kultury UW, następnie zastępca oraz dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Od 1 listopada 1988 r. dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW. Prywatnych marzeń nie ujawnia. Chciałby dysponować jak największym funduszem na działalność kulturalną. Ceni wolny czas innych i swój, ale prawie go nie posiada.

da. Hobby: kibicowanie, historia najnowsza, prowadzenie samochodu.

KRZYSZTOF SPYCHAJ, lat 39 (znak Waga), żona Renata, ekonomistka w GPPB „Przemysłówka”, syn Łukasz, l. 16 uciec II LO, córka Magdalena, l. 13, uczennica szkoły Podstawowej nr 16 w Gorzowie Wlkp., pies „rasy lubuskiej” — Kuba. Prawnik, absolwent UAM, aplikantura w Prokuraturze Powiatowej w Szczecinie, były zastępca prokuratora powiatowego w Choszczynie, prokuratora rejonowego w Międzyrzeczu i prokuratora rejonowego w Gorzowie Wlkp. W l. 1986-88 prezydent miasta Gorzowa. Obecnie prokurator wojewódzki. Ceni porządek, dyscyplinę, poszanowanie prawa, pracowitość oraz odwagę w wyrażaniu własnych poglądów. Nie znosi bezradności i obojętności. Chciałby zakończyć budowę domu jednorodzinnego. Działacz społeczny. Od ub. roku członek Egzekutywy KW PZPR. Hobby: praca i jeszcze raz praca, uprawa działki, z której uzyskuje plony poniżej przeciętnej.



„Cantores” śpiewają...

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

Piękne śpiewanie

Elżbieta Kuszyńska

Już od wielu lat Zielona Góra jest ważnym ośrodkiem ruchu chóralnego, konkurującym weale skutecznie z takimi silnymi rywalami, posiadającymi w tej dziedzinie stare tradycje, jak Poznań, Lublin, Szczecin czy Warszawa. Niemala w tym zasługą Chóru Akademickiego „Cantores” zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, prezentującego obecnie bardzo wysoki poziom, rzec można — prawie profesjonalny.

Niedawno powstało Zielonogórskie Towarzystwo Śpiewacze „Cantores”, którego członkowie (głównie chorzyści) przejawiają niezwykle aktywność organizacyjną. Towarzystwo organizuje cykliczne Zielonogórskie Wieczory Chóralne, które zyskały sobie już trwałe miejsce w zielonogórskim krajoznacze muzycznym i cieszą się dużym zainteresowaniem. Miejsce spotkań — Palmiarnia WSP — każdorazowo ledwie może pomieścić słuchaczy. A mają oni okazję poznania nie tylko chórów miejscowych, lecz także innych — z województwa, kraju, a nawet z zagranicy. Z inicjatywy „Cantores” odbył się również w ubiegłym roku I Kongres Wokalny Amatorów. Impreza ta była tak udana, że skłoniła organizatorów do jej kontynuowania. Właśnie trwa przygotowanie do II Konkursu.

Liczne osiągnięcia i nagrody zdobywane przez chór „Cantores” przyczyniają się do dużego ożywienia ruchu chóralnego w Zielonej Górze, a więc jednocześnie do podtrzymania pięknych tradycji. Warto tu wspomnieć o aktywnym niegdyś, dziś już nie istniejącym chorze Wyższej Szkoły Inżynierskiej pod dyrekcją Alfreda Paszaka, czy też długo i do dziś działającym chorze przy Kościele p/w Najświętszego Zbawiciela, którym kieruje Andrzej Malinowski. Chór Kameralny pod dyr. Stanisława Malawskiego istniejący przy Spółdzielczo-Uczelnianym Domu Kultury „Mrowisko”, podobny przy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Kierują nim Irena Marciniak i Stanisław Ciomek. Młody „narybek” kształci sobie „Cantores” w Młodzieżowym Chórze Młodzieżowym przy Liceum Ogólnokształcącym nr 1. Dziewczatom mogą śpiewać w „Polirymli”, obok której powstał też niedawno przy Wojewódzkim Młodzieżowym Domu Kultury „Dom Harcerza” — Młodzieżowy Chór Mieszany kierowany przez Janinę Nowak.

Czyż nie warto więc przywrócić się bliżej inspiratorom tego pięknego ruchu, znanego obecnie już nie tylko w kraju, ale i za granicą?

Duszą Towarzystwa „Cantores” jest kierownik artystyczny i dyrygent chóru — Jerzy Markiewicz, kierujący tym zespołem od 1982 r. Zespół powstał jednak wcześniej — najpierw działał — pod kierunkiem Ireny Marciniak — jako chór Zakładu Wychowania Muzycznego WSP. Od 1982 roku śpiewała w nim wszelkie również studenci wszystkich wydziałów uczelni, a nawet ab-

solwenci. Ostatnio pojawili się także studenci WSI, absolwenci innych szkół i pasjonaci śpiewu.

Wbrew pozorom, śpiewanie w chorze nie jest wyłącznie przyjemnością. Na to mogą pozwolić sobie amatorzy, a „Cantores” za takich uchodzić nie chcą. Dążą do perfekcji, do profesjonalizmu, chociaż przecież z reguły nie posiadają wykształcenia śpiewaczego, a często na wet ogólnomuzycznego. Godzą się z rygorystycznymi wymogami wysuwany przez dyrygenta, który nie należy bynajmniej do ludzi łagodnych i ustepliwych. Ba, często nawet protestują przeciwko jego „tyranii”, lecz w końcu też się z nią godzą, bo wspólne cele są przecież takie same. Ambitne zamierzenia muszą być jednak poparte pracą. I to jest właśnie ta „druga strona medalu”. Śpiewanie jest też pracą. I to jest praca. Przynajmniej trzy razy w tygodniu odbywają się dwugodzinne próby. Każde wakacje — to dwutygodniowy obóz z nieustannymi próbami i wyjazdami na stresujące konkursy. Dodać trzeba do tego liczne występy w ciągu całego roku, współpracę z Filharmonią Zielonogórską, a także inne — już wspomniane — imprezy.

Czy ten trud się opłaca? Na pewno tak!

Świadczą o tym zdobywane nagrody i wyróżnienia. Ich lista jest imponująca. Nie sposób wymienić tu wszystkich, jednak te najważniejsze budzą uznanie. Od czasu objęcia „szefostwa” zespołu przez Jerzego Markiewicza, nie ma właściwie roku, by zespół nie dopisał do swego konta nowego sukcesu.

Już w 1980 r. zespół wówczas jeszcze Chór Zakładu Wych. Muz. (zdołał Grand Prix na Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat 13” oraz „Summa cum laude” i medal „Pro musica” na Europejskim Młodzieżowym Festiwalu Muzycznym w Neerpelt w Belgii. Cztery lata później — srebrny medal na Festiwalu Polskiej Pieśni Chóralnej w Katowicach, a w 1985 nagrodę ZSP i Ogólnopolskiej Rady Chórów Akademickich na Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat 17”. W tymże roku „Cantores” wyjechali na Festiwal International de Musica de Cantonigros do Hiszpanii, skąd przywieźli III nagrodę w kategorii chórów mieszanych i III — w kategorii chórów żeńskich. W 1985 r. chór zdobył również srebrny medal i nagrodę wojewody katowickiego

na Festiwalu Polskiej Pieśni Chóralnej w Katowicach.

Rok 1988 zapisał się w historii zespołu wyjazdem do Wielkiej Brytanii i udziałem w Cleveland International Eisteddfod (Middlebrough), który przyniósł III nagrodę w kategorii chórów mieszanych. Rok później „Cantores” zdobyli brązowy medal na Międzynarodowym Festiwalu Polskiej Pieśni Chóralnej w Katowicach.

Niewątpliwie najciekawsze były ubiegłoroczne wakacje. Chór „Cantores” przebywał we Włoszech, gdzie uczestniczył w konkursie w dziedzinie muzyki Międzynarodowym Konkursie Chóralnym im. Guidona z Arezzo, odbywającym się pod patronatem prezydenta Włoch. Miejscowa prasa szybko uznała zielonogórzan za faworytów. I rzeczywiście — po raz pierwszy od 11 lat Polacy znaleźli się wśród laureatów tej imprezy. „Cantores” wystąpili — w różnych składach — w trzech kategoriach repertuarowych, odnosząc wielki sukces. Zdobyli dwie nagrody: III — w zakresie polifonii renesansu i baroku (V miejsce zajął drugi występujący w tym konkursie również chór polski „Cantio Polonica” z Warszawy) i III — w zakresie muzyki XIX i XX wieku („Cantio Polonica” otrzymał także — ex aequo — III nagrodę).

Przy takim dorobku zyskuje się popularność i uznanie międzynarodowe. A za tym idą także ciekawe zaproszenia na nowe międzynarodowe imprezy. W najbliższych planach — Międzynarodowy Konkurs Chóralny w Tours we Francji, a także liczne koncerty.

„Cantores” występowali już wielokrotnie w Zielonej Górze, wielu innych miastach Polski, a także w NRD, RFN, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Francji, Austrii, na Węgrzech, i we Włoszech. Śpiewali także w czasie audycji u papieża Jana Pawła II. Zespół dokonał również wielu nagrań dla Polskiego Radia, Radia BBC, Radia Watykańskiego, występował w Telewizji Polskiej.

Na koniec trzeba wspomnieć o repertuarze. Składała się nań utwory różnych epok i stylów muzycznych, od mistrzów renesansu po dzieła kompozytorów współczesnych — polskich (w tym także zielonogórskich) i obcych. Są to zarówno małe i wielkie formy a'cappella, jak i dzieła wokalo-instrumentalne, wykonywane wspólnie z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Zielonogórskiej, np. Msza „Koronacyjna” i motet „Ave verum corpus Mozarta”, „Ad Matrem” Góreckiego, „III Litania Ostrobramska” Moniuszki, „Angelus” Killara.

Być dobrym w tak różnorodnym programie — to naprawdę osiągnięcie!

DOLCE VITA PREZESA

Aleksander Woś

Sprawa wniesiona w 1987 r. do Sądu Rejonowego w Gorzowie przez gorzowską Spółdzielnię Inwalidów „Sizel” przeciwko jej byłemu kierownictwu o naruszenie praw spółdzielczego mienia, znalazła swoje rozstrzygnięcie po czterech rozprawach dopiero w ubiegłym roku w Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze. Dotyczy ludzi stanowiących w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych zarząd tej Spółdzielni, a szczególnie jej byłego prezesa Stanisława P., jego dwu zastępców: d.s. rehabilitacji inwalidów — Bogusława B., d.s. produkcyjno-technicznych — Mirosława M. i głównej księgowej — Weroniki M.

Spółdzielnia Inwalidów „Sizel” nie należy do małych. W omawianym okresie zatrudniała około 700 osób, w tym 7 proc. ludzi niepełnosprawnych. W sześciu branżach produkowano ponad 1000 różnorodnych wyrobów. Trudno dziś dociec, jakie myśli i uczucia towarzyszyły Stanisławowi P., kiedy obejmował pod koniec 1982 r. stanowisko prezesa i kompletował współpracujących z nim zarząd. Co wiedział o idei spółdzielczości w ogóle i o zasadach wprowadzania jej w życie, a o idei spółdzielczości inwalidzkiej, tej niezwykle delikatnej materii, bo dotyczącej ludzi pokrzywdzonych przez życie w szczególności? Wszak nie tworzył Spółdzielni od nowa. Funkcjonowała ona w ramach Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów w Zielonej Górze w oparciu o istniejący i zatwierdzony przez ogólne zebranie członków Spółdzielni statut, podlegała corocznej ocenie wyników swej pracy poprzez zatwierdzanie bilansów, miała nad sobą organ kontrolny w postaci Rady Nadzorczej, która w założeniu nie powinna działać od święta, odwrotnie zaś, systematycznie przyglądać się działalności zarządu. Zapewne miał najlepsze intencje i wraz ze swymi najbliższymi współpracownikami snuł programy dalszego rozwoju firmy, pomnożenia jej majątku, bo któż będąc na jego miejscu tego by nie chciał. Tym bardziej, że sam był inwalidą, a więc można się domyślać, że starał się zrozumieć, czego pragnie podległa mu załoga. Nic też nie wskazuje na to, iżby w tej sprawie były jakieś rozdziwki między pozostałymi członkami zarządu, wręcz przeciwnie, wszyscy się dobrze rozumieli do samego końca, bo nawet w obliczu Sądu nie przyznawali się do winy, mimo, iż w kończącej sprawę sentencji wyroku sfornulowano wręcz przeciwny pogląd, zgodny z którym „...odpowiedzialność odszkodowawczą pracowników za mających stanowiska kierownicze za powstałe szkody opiera się na zasadzie winy. Zakres winy pracownika, pełniącego funkcje kierownicze jest dość szeroki, skoro ponoszą oni odpowiedzialność również za szkody wynikłe stąd, że zgodzili się na objęcie stanowiska kierowniczego, jakkolwiek powinni zdawać sobie sprawę z braku posiadanych w tym względzie kwalifikacji.”

Jakie kwalifikacje Sąd miał w tym przypadku na myśli? Wszak pozwanym przez Spółdzielnię byli członkowie zarządu nie byli analfabetami. To się dopiero ma okazać. Po pierwszy rok pracy prezesa niczego złego jeszcze nie zapowiadał. Choć był to czas, w którym kształtował się jego charakter na tym stanowisku, o którym w dwa lata później, w czasie przeprowadzonej przez Zespół Lustracji Centralnego Związku Spółdzielczości Inwalidów kompleksowej kontroli, wielu pracowników Spółdzielni mówiło jednoznacznie: autokrata, nie liczący się z nikim i z nikim poza tymi, z którymi liczyć się należało, ale takich w Spółdzielni nie było. Tymczasem w rzeczonej Spółdzielni coraz częściej zaczęto mówić, początkowo po cichu i po kątach, o nasilających się skłonnościach prezesa do organizowania z różnych okazji i bez okazji libacji, po częstunkach, obiadach-kolacjach z udziałem zaproszonych gości. Wszystko na koszt Spółdzielni, często z jej funduszu socjalnego i co gorsze — z funduszu na rehabilitację inwalidów. Działo się to w sytuacji, gdy przy podziale wypracowanych przez załogę środków w 1984 r. i w 1985 r. przez zapomnienie lub nie-

dopatrzenie nie wyodrębniono do dyspozycji prezesa tzw. funduszu reprezentacyjnego. Jeśli nawet przy szczególnej okazji, jak np. okrągły jubileusz Spółdzielni, Rada Nadzorcza lub ogólne zebranie Spółdzielców wydzieliło odpowiednią kwotę na uroczyste jej potraktowanie (zakup kwiatów, dożywianie) to i tak liczba uczestniczących w takiej uroczystości osób była faktycznie niższa, niż uwidoczniła w sporządzonym w związku z tym dokumencie. Z „zaoszczędzonych” w ten sposób środków organizowano w tym samym dniu już w ścisłym gronie imiennie zaproszonych gości spotkanie w pobliskiej restauracji, którego menu, a zwłaszcza ilość napojów niezależnie od panującej gastronomicznej posuchy, zwraca uwagę.

Ten i inne dowody nadużyć, niegospodarności, znalazły swoje potwierdzenie zarówno w obszernym, liczącym kilkadziesiąt stron protokole lustracji zespołu CZSI, jak i w kończącej sprawę wyroku Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. I tak np. w dniu 5 maja 1984 r. walne zebranie zatwierdziło wydzielenie ze środków Spółdzielni 35 tys. zł. na tzw. „obsługę” tego zebrania. Ale koszt tej obsługi (posiłki i artykuły cukiernicze dla uczestników zebrania i zaproszonych gości) były nieco wyższe i wyniosły 98 426 zł. Pech chciał, że w tym samym dniu, już z inicjatyw zarządu odbyło się dodatkowe przyjęcie z udziałem 34 osób w restauracji „Kmieć” (obiad, kolacja, napoje, zakąski), które kosztowało 77 783 zł. Wydatek ten zaksięgowano za wiedzą głównej księgowej w ciężar konta 429 — tj. „inne usługi materialne”. Łącznie więc, w tym jednym dniu wydatki na cele konsumpcyjne wyniosły 176 209 zł. Koszt podobnego zebrania rok później, właśnie w 35-lecie Spółdzielni były jeszcze wyższe i wyniosły: zebranie — 128 500 zł., przyjęcie w restauracji „Kmieć” 65 850 zł — łącznie 194 350 zł.

A przecież nie były to jedyne koszty tego typu przesadnie przedsiębiorczy, o której w tamtych latach nie mówiono się jeszcze tak głośno jak dzisiaj. W 1984 r. na usługi gastronomiczne z różnych innych okazji wydano 407 137 zł i obciążły one głównie konto 978 tj. fundusz rehabilitacji inwalidów. W 1985 r. sam tylko jubileusz Spółdzielni kosztował 332 661 zł. Jak na jedną spółdzielnię jest to pozornie nie wiele. Wyspecjalizowaliśmy się wszak w organizowaniu i uroczystych obchodach różnych mniej lub bardziej okrągłych jubileuszy, i kosztowały one nas już o wiele, wiele więcej. Jeśli się jednak pomyśli, ile jest jeszcze pałaców i nie zaspokojonych potrzeb inwalidów, to suma ta wydaje się o wiele za duża. Tym bardziej, że znaczna część tych pieniędzy pobrana została z kasy Spółdzielni bez wskazania celu zakupów, na rachunkach ich dotyczących umieszczano adnotacje — „na polecenie prezesa”, lub „zarządu” i rachunki te nie były kwestionowane przez księgowość.

Ale największą plamą na honorze i sumieniu prezesa, który widocznie zasmakował w owym swoistym „dolce vita”, było zaangażowanie się na przetomienie stycznia i lutego 1985 r. za wiedzą RZSI w charakterze opiekuna — wychowawcy na zimowisku dla dzieci pracowników spółdzielni zorganizowa-

Ciąg dalszy na str. 5



Rysunek PIOTRA M. KULNICHINA (ZSRR) z Międzynarodowej Wystawy w Kokke-Heist '88 (BELGIA) reprod. hel.

Zabójca za 30 000 rubli

W Sowjetunione — Heute, czasopiśmie wydawanym przez ambasadę radziecką w Bonn, ukazał się artykuł dr Aleksandra Gurowa, nadporučnika milicji o mafijnej przestępczości w ZSRR. Artykuł ten z niewielkimi skrótami zamieszczamy poniżej.

W okresie stalinowskim mogła krzewić się zorganizowana przestępczość? Totalitarne państwo nie toleruje tego rodzaju przejawów. Ponadto kraj był zbyt ubogi, z punktu widzenia gospodarczego. Mafija powstaje przede wszystkim tam, gdzie gospodarka rozwija się w miarę dobrze. Pierwsze symptomy mafijnej działalności pojawiły się u nas za czasów Chruszczowa, kiedy mechanizm gospodarczy zaczął wykazywać pewną poprawę. W latach siedemdziesiątych działalność ta stała się zjawiskiem mającym wymiar społeczny.

Wtedy to pojęcie „mafii” weszło do obiegowego języka. W każdym razie w owym czasie odzwierciedlało ono, w daleko większym stopniu, nasze rozpoznanie z powodu występujących na każdym kroku niesprawiedliwości społecznych, pogłębiającego się rozdźwięku między oficjalną propagandą a realną egzystencją.

Z kolei staliśmy się świadkami czegoś zupełnie nowego: otóż ludzie, którzy do tej pory nielegalnie gromadzili miliony, zaczęli nagle, bez żadnych zahamowań, lokować je w mercedesach, brylantowych naszykach, willach. I w rzeczy samej czegoś takiego nie było w sytuacji, kiedy ciolowi reprezentanci państwa i ich dziećci chętnie się własnym bogactwem.

W tym czasie zaczęliśmy szeptać z przerażeniem: „Mafia”. Coraz więcej pisaliśmy o przestępczości, o kasy państwowej do rąk prywatnych. Posługiwano się przy tym różnymi metodami. Najpopularniejsza było jednakże tworzenie nielegalnych warsztatów i nawet całych fabryk, którym „przydzielano” państwowe zasoby surowców. Pojawiała się cała masa tzw. cechowników gangsterów w białych kołnierzykach.

Bossowie tego nielegalnego biznesu stali się z kolei obiektem napadów ze strony gangsterskich band, które, stosując najbardziej brutalne metody, chciały wyjednać sobie udział w ich zyskach. Podpalały one samochody, domy i dachy cechowników, uprowadzały ich dzieci. Już w latach siedemdziesiątych wystąpiło u nas zjawisko kidnapingu zbrodni, o której nigdy nie słyszano w ZSRR.

Uprowadzani milionerzy podziemia byli szantażowani i torturowani. Przykładowo kładziono ich do trumny, którą następnie była „obrabiana” piłą, i do tego długo, aż delikwent wyraził w końcu zgodę na uiszczenie „podatku”.

Pieniądze napływały stopniowo do przestępczego świata i to w takich ilościach, że przechodziło to najsmutniejsze oczekiwania zawodowych zbrodniarzy. Zaledwie zaczęli oni gromadzić olbrzymie sumy, niczym grzyby po deszczu zaczęli wyrastać w ich środowiskach bossowie, którzy utrzymywali własny personel: goryle, zwiadowców, bojówkarzy.

Jako pierwsi poprosili o pokój działający nielegalnie ludzie interesu. Zawarcie pokoju poświęcony był specjalny kongres, w którym wzięli udział przedstawiciele obu kierunków. Kongres ten odbył się w połowie lat siedemdziesiątych w jednym z północno-kaukaskich miast. „Białe kołnierzyki” wyraziły gotowość wypłacania bandom 10 proc. swych dochodów, licząc na pozostawienie ich w spokoju i nawet na odpowiednią ochronę.

Tym „na górze” płacili oni za to, aby chronili ich przed wymiarem sprawiedliwości oraz zezwalali na nielegalne dostawy do zakamuflowanych warsztatów i fabryk, a tym „na dole”, aby zabezpieczyć się przed napadami.

Zorganizowana przestępczość działa w naszym kraju w trzystopniowym układzie. Na pierwszym, najniższym poziomie, mamy do czynienia ze zbrodnictwami bandami, które jeszcze nie są w stanie sprawować władzy. Na drugim, wyższym, znajdują się podobne grupy, które jednakże utrzymują już kontakty ze skrupupowanymi urzędnikami. Na trzecim, najwyższym poziomie operują najsilniejsi: wiele grup łączy się w jedną całość a najpotężniejszy klan sprawuje władzę. Na Zachodzie nazywa się to siecią strukturą mafijną...

Wyniki naszych dochodzeń wykazują, że owe zbrodnicze organizacje rozprzyszyły się zwłaszcza w południowych rejonach, w tym również na Ukrainie i w Mołdawii. Najsilniejsze ich ośrodki uwiły swe gniazda w takich miastach jak: Kijów, Lwów, Odessa, Donieck i Dniepropetrowsk. Jednakże usadowiły się także w Moskwie oraz Leningradzie.

Obecność zbrodniczych organizacji stwierdzono ponadto w Tambowie, Penzie, Jarosławiu, jak również w Permie.

W świecie przestępczym uważa się za szczególnie korzystne instalowanie się w mniejszych miastach, ponieważ łatwiej jest je utrzymać pod kontrolą. Dla tego też nie przypadkiem mafijne grupy upatrzyły sobie na przykład leżące w pobliżu Moskwy Balasizhe, Lubercy, Puszkino i Orichowo-Sujtowo.

Południe jest niejako naszym Klondikiem. Można jednakże postawić pytanie, dlaczego dziś na ustach wszystkich jest tylko Uzbekistan? Dzieje się to zaś dlatego, że sfałszowane raporty o zbiorach bawełny umożliwiają zorientowanie się w defraudacjach, idących w miliony oraz rozmiarach korupcji, które objęła czołowe osobistość republiki Uzbekistan stał się głośny, ponieważ osiągnęliśmy tam prawie do samego dna olbrzymiego bagna.

Niedawno stwierdziliśmy istnienie przestępczej organizacji w rejonie Chabarowskiej, która występuje pod nazwą „Administracja”. Owa „Administracja” wystąpiła ostatnio z apelem o utworzenie funduszu pomocy dla tych, którzy zostali aresztowani. Jak wynika jednakże z treści „apelu” (czytaliśmy go osobście) pieniądze nie mają być przeznaczane dla każdego, lecz jedynie dla „wierchuszki” przestępczego świata.

Zorganizowana przestępczość rozkłada się. Wyraża się przy tym tendencja wchłaniania słabszych grup przez silniejsze. Według naszych informacji, haracz płacą dziś mafijnym bossom nie tylko działający nielegalnie ludzie interesu, jak miało to miejsce uprzednio, lecz także złodzieje kieszonkowi i handlarze narkotyków. W razie sprzeciwu otrzymują po prostu zakaz „pracy”.

Na przykład złodzieje podzielili się na dwie nienawidzące się wzajemnie grupy. Jedni pracują według dawnych zasad, drudzy zaś wstąpili na mafijną służbę. Pierwsi nazywają nawet swych przeciwników „strażnikami rekinów”. Między obu tymi grupami dochodzi do bójk i zabójstw. Chodzi przy tym głównie o podział terytorium.

Nierzadkie są także zbrojne starcia. Wśród bojówkarzy jest wielu sportowców. Niestety, zapoatrzywanie się przez nich w broń nie stanowi większego problemu.

W zasadzie prowadzący przestępczych grup nie są zainteresowani rozgłosem. W celu rozstrzygnięcia „sporów terytorialnych” powołali oni do życia własne sądy rozjemcze.

Niedawno przeprowadziliśmy ankietę wśród 109 współpracowników urzędów śledczych i kryminalnych, chcąc dowiedzieć się, jakie zaobserwowali oni zmiany w przestępczych organizacjach, od chwili powstania u nas nowych kooperatyw. 81 proc. ankietowanych wymienilo szantaż, 52 proc. „ochronę za pieniądze” członków kooperatyw i 22 „partnerstwo w interesach”, które polega na deponowaniu przez zbrodniarstwo pieniędzy w kooperatywach, aby móc je „wypruć”, a więc innymi słowy zalegalizować.

Jeśli weźmie się pod uwagę, że mafiosi podczas gry w karty potrafią winować stawki do pół miliona rubli lub naszym współpracownikom proponują łapówki w wysokości 300.000, a niekiedy i miliona rubli, nie trudno sobie wyobrazić, jakimi dysponują oni dochodami.

Według naszego rozeznanie na czele mafijnych klanów stoją byli sportowcy, wszelkiej maści zbrodniarze-recydywiści, niepozorni funkcjonariusze różnych sektorów gospodarki oraz, jak stwierdzono ostatnio, nawet kelner jednej z pizzerii. Ten ostatni dysponuje gwarancją przybytności, „zwiadownicami” oraz całym systemem kontrolnym, który umożliwił mu rozciąganie „pieczy” na określonym terytorium.

Sami „ojcowie chrzestni” żyją skromnie i mają opinie ludzi uczciwych... Oczywiście mają dach, samochody i mieszkania na wysokim poziomie: pokazują się rzadko na zewnątrz, w swych domach nie przechowują narkotyków, ani nie ukrywają milionów w kanapach. Jeśli grają w karty i przegrywają pół miliona, to dzieje się to w zamkniętych jaskiniach gry, jedynie w obecności własnych kompanów, którzy w mafijnej hierarchii zajmują przeważnie równorzędne stanowiska.

Według danych pochodzących z akt karnych, mafia płaci zabójcy od 30.000 do 100.000 rubli. Większe jednakże sumy mają inne przeznaczenie. Albowiem bar dziej opłacalne jest kupienie wysoko postawionego urzędnika, niż zwerbowanie mordercy. Prokuratura posiada informację, że na korumpowanie osób urzędowych przeznaczają się dwie trzecie wartości łupu. Dwie trzecie! Można sobie wyobrazić, o jakie chodzi tu sumy!

Ciąg dalszy ze str. 1

Grot-Rowecki zajmuje bardzo ważne miejsce w mojej pracy. Na temat jego działalności jako komendanta głównego AK, jego osobowości, przeczytałem wiele artykułów prasowych i książek. Rozmawiałem o nim w Warszawie m.in. z prof. Tomaszem Szarotą, który napisał cymba najlepszą biografię Grot-Roweckiego. Dzięki wywiadom i materiałom, które zgromadziłem, wyłożyłem nowe aspekty sprawy: generalnie dowiedział się pod obserwacją niemiecką najwcześniej od wiosny 1942 roku, najpóźniej od wiosny 1943. Policja niemiecka, a szczególnie Gestapo, miały wielkie problemy z aresztowaniem Grot-Roweckiego. Np. szef warszawskiego Gestapo Walter Stamm bał się aresztować go, a potem wytoczyć mu proces, aby nie odciać sobie ważnych źródeł informacji. Problem polegał na zmontowaniu takich operacji, by aresztując generała nie ujawnić informatorów, kolaborantów, najważniejszych źródeł informacji o polskim podziemiu. Była to trudna i bardzo skomplikowana sprawa. Przyczyna aresztowania Grot-Roweckiego w czerwcu 1943 roku nie jest do dziś wyjaśniona. Przypuszczam, że doszło do tego na skutek intrygi ze strony wywiadu niemieckiego w Warszawie oraz braku właściwej koordynacji kierownictwa Gestapo w tym mieście.

W mojej pracy — mówiąc najogólniej — opisuję aparat okupacyjny w Polsce, który z jednej strony usiłował wprowadzić ideologię morderstwa, z drugiej próbował pozyskać dla swoich działań ludność polską. Doznał jednak całkowitej klęski. A jednocześnie przeanalizowałem sprzeczności w polskim podziemiu i pokazałem, w jaki sposób zastrzeliły się one na skutek niemieckiego postępowania.

— Czy jest Pan pewien, że książka ta przyjęta do druku przez wydawnictwo Intercontex w Londynie, spotka się z zainteresowaniem czytelników angielskich i niemieckich? Bo przecież pisał Pan ją mając określony cel?

— Pracy tej poświęciłem dziesięć lat mego życia. A na pytanie dlaczego ten właśnie temat podjąłem, odpowiedziałbym chińskim przysłowiem, że sama „droga jest celem”. Moją godność ludzka byłaby bez Polski niemożliwa. Rozwijałem się dzięki temu tematowi i była to dla mnie najistotniejsza sprawa. Zdobylem tyle wiedzy o możliwościach ludzkiej zachowań. Poznałem Polaków, którzy musieli w sytuacjach skrajnych podejmować decyzje i decyzje te podejmowali. W ten sposób ucząc się ludzi, poznałem samego siebie. I chciałbym powiedzieć, że ten obrachunek ze samym sobą był dla mnie najważniejszy.

szym momentem w życiu. Nie chodzi tu o akademickie wnioski, o pieniądze związane z publikacją tej książki. Po prostu poprzez napisanie tej pracy stałem się człowiekiem, i w tym sensie, właściwie wszystko zawdzięczam Polsce i Polakom.

— Swoją polską małżonkę poznał Pan przeszło cztery lata temu, a problemuje się Pan od dziesięciu lat, czyli że na nie była przyczyną zainteresowania się Pana naszym krajem?

— Po raz pierwszy odwiedziłem Polskę w 1975 roku, a czynnym członkiem Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Łodzi poznańskiego, który — w ramach wymiany kulturalnej — koncertował w RFN. Było to w roku 1973, a rok później stosunków niemiecko-polskich za-

waż ją kocham. Małżeństwo to nie jest żadnym uzupełnieniem mojej pracy naukowej. Pobraliśmy się z miłości. Gdyby była Francuzką, czy Włoszką, postąpiłbym tak samo. Przyjechała do mnie, do Hanoweru na stałe dopiero w 1985 po ukończeniu socjologii na uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu.

— Domyślałam się, że interesuje się Pana pracą zawodową, i na pewno pomaga we wszystkim, co dotyczy Polski, jej historii i współczesności.

FASCYNACJA POLSKĄ

— Oczywiście, bardzo mi pomaga, ponieważ moja znajomość języka polskiego jest dosyć ograniczona. Często tłumaczy mi różne teksty na język niemiecki. Kiedy przynosi do domu nowe książki polskie, bywa, że nawet się denerwuje. Po prostu ma chwilemi za du-

żo pracy. W ostatnich latach wydatnie mi pomogła. Szczególnie mówiąc, bez jej udziału, nie napisałbym tak szybko tej trudnej pracy.



Dr. Michael Fedorowicz

Hanowerze jestem od niedawna. W tym mieście właśnie, w sali koncertowej, poznałem moją przyszłą małżonkę. Śpiewała w chórze akademickim uniwersyteckim, jak pan już wie, pobraliśmy się w Dębnie Lubuskim, skąd pochodzi moja wybranka. Ożeniłem się z nią, ponie-

żo pracy. W ostatnich latach wydatnie mi pomogła. Szczególnie mówiąc, bez jej udziału, nie napisałbym tak szybko tej trudnej pracy.

Rozmawiał: ROMUALD SZURA

Spełnione dziedzictwo

Ciąg dalszy ze str. 1

katolików, którzy manifestowali swoje nieprzejmowane stanowisko wobec odwołanych i rewizjonistycznych dążeń zachodnoniemieckich rewanżystów.

W dniu 12 grudnia 1951 r. we Wrocławiu odbył się Ogólnokrajowy Zjazd Duchowieństwa i Działaczy Katolickich przeciwko remilitaryzacji RFN. W zjeździe uczestniczyło ponad 1700 delegatów reprezentujących niemal wszystkie ośrodki katolickie w kraju. Obok księży profesorów wydziałów teologii z warszawskiego i krakowskiego oraz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, na sali obrad zasiadło wielu duchownych z wiejskich i miejskich parafii, znanych uczonych, literatów i publicystów katolickich. Uczestniczyli też przedstawiciele wschodnio-niemieckich katolików. Aby zaprezentować przeciwko nadużywaniu hasła chrześcijańskiego dla wojennej, antypolskiej polityki, przejechał m.in. sekretarz generalny Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej w NRD, G. Geotting oraz członek Izby Ludowej H. Friede.

Zjazd rozpoczął uroczysta msza święta w nowoobudowanej wrocławskiej katedrze. Główny referent ks. prof. E. Dąbrowski podkreślił, iż Polska powróciła na Ziemię Odzyskaną nie w drodze podboju ani brutalnej przemocy, ale w oparciu o uchwały Konferencji Poczdamskiej, przywracające jej tylko dawną własność. Nie chodzi zatem o ziemie zdobyte, lecz odzyskane. Na próżno więc pewne czynniki zagraniczne — stwierdził mówca — dążąc do osłabienia pozycji Polski w świecie, usiłują wbić klin niezgody między rządem a Kościołem katolickim w sprawie Ziemi Odzyskanych. Odpowiadamy na to z całym poczuciem odpowiedzialności, nie ma i być nie może żadnej różnicy pod tym względem w poglądach wszystkich Polaków. Mówiąc o pretensjach szowinistycznie nastawionej części kleru niemieckiego,

oświadczył: „Jest rzeczą zgola niepoważną, aby prawo-kanoniczne tytuły ściśle określonych administracyjnych jednostek w Polsce zachowywały ludzie występujący jawnie zarówno przeciw rządowi polskiemu, jak i hierarchii Kościelnej”.

Międzynarodowe znaczenie zjazdu wrocławskiego polegało również na tym, iż polscy katolicy zwrócili się oficjalnie do katolików całej Europy i USA z wezwaniem, aby uprzedzili swym rządów fakt, że nie można prowadzić własnej, uczciwej polityki, jeśli jest ona oparta na gwałceniu praw innych narodów i na przygotowywaniu do nowej wojny. Duchowni polscy wystąpili z inicjatywą stworzenia jednolitego frontu katolików Holandii, Belgii, Francji, Włoch i Polski celem bezpośredniego nawiązania kontaktów z katolikami niemieckimi i omówienia z nimi spraw związanych z niebezpieczeństwem remilitaryzacji RFN. Poślanie zjazdu dotarło zapewne do Stolicy Apostolskiej, która podtrzymała wówczas fikcję w postaci niemieckiej administracji kościelnej i tymczasowości polskich administratorów apostołskich. Zjazd był też wyrazem wzrostu poczucia odpowiedzialności do chowieństwa i katolików za przyszłość Ziemi Odzyskanych. Stanowisko hierarchii Kościoła katolickiego w Polsce znalazło swój wyraz w orędziu prymasa Hłonda do ludności katolickiej zamieszkałej na Ziemiach Odzyskanych. Wyjaśnił ono, że Watykan nie popiera myśli o rewizji granic Polski. Zawierało też apel o trwanie i wytrwałość w pracy na rzecz zagospodarowania Ziemi Odzyskanych.

Z perspektywy minionego okresu należy podkreślić doniosłość dokonanej integracji Ziemi Odzyskanych z Macierzą. Zrastanie się osiedleńców i autochtonów, akceptacja nowo powstałej społeczności na tych ziemiach przez cały naród, uznanie zintegrowanych obszarów w jednym społeczeń-

wie w skali międzynarodowej, także przez Watykan — to rezultat usilnych wspólnych starań.

Na zakończenie należy podkreślić aktualne rozbieżności interesów między Episkopatem Polski i RFN. Episkopat zachodnoniemiecki udziela w dalszym ciągu poparcia tezom prawniczo skrzydła CDU-CSU w zakresie polityki wschodniej. Na forum między narodowym Episkopat zachodnoniemiecki zaczyna się wzorować na orientacji politycznej Bonn, które — świadome potęgi gospodarczej — coraz bardziej twardo akcentuje swoje stanowisko i próbuje narzucać własny punkt widzenia partnerom. We wspólną pracę polsko-zachodnoniemieckiej ujemny skutek wywiera stałe dofinansowanie różnych imprez katolickich w Polsce z kasy kościoła RFN. Stąd postulat kontroli nad sposobem wykorzystywania uzyskanej pomocy. Nie udało się też dotychczas znaleźć formuły kompromisowej między dwoma diametralnie sprzecznymi postawami: Episkopat polski domaga się możliwości roztoczenia opieki duszpasterskiej nad emigrantami świeżej daty w RFN, Episkopat zachodnoniemiecki odrzucał ten postulat i ze swej strony żąda analogicznych kompetencji w stosunku do tzw. mniejszości niemieckiej w Polsce. Na tle chronicznego braku księży, Episkopat zachodnoniemiecki bardzo chętnie widzi „emigrację zarobkową” polskich księży i to nie tylko Ślązaków. Woli jednak by ich praca zaspokajała potrzebę duszpasterską Niemców z prawdziwego zdarzenia i by nie mieli do czynienia z przesiedleńcami. Dotychczas osiągnięto porozumienie nie tylko w jednym punkcie: strona zachodnoniemiecka zgodziła się położyć kres tzw. dzikiej emigracji i polscy księża nie mogą być obecnie przyjmowani do pracy duszpasterskiej w RFN bez uprzedniej zgody swych ordynariuszy.

JAN GOLEC

nym w Szolnoku na Węgrzech. Ze nie miał po temu kwalifikacji i co równie ważne — nie zawarto z nim żadnej w tym względzie umowy? Przecież pojechał tam faktycznie jako kolonista, figurując na liście dzieci uczestniczących w zimowisku. Koszt jego pobytu na kolonii w wys. 28.629 zł. pokryto z funduszu zakładowego. Za to jego nieobecność w pracy w tym czasie potraktowano jako usprawiedliwioną, wypłacając mu z tego tytułu wynagrodzenie w kwocie 18.381 zł. Tak się w tej drugiej specjalności rozsmakował, że już w następnym, 1986 r. pełni obowiązki kierownika turnusu kolonijnego w Niechorzu, a z tytułu niewykorzystanego urlopu wypłacono mu 106.050 zł. W takiej sytuacji inne uchybienia prezesa wydają się drobiazgami. Począł on traktować Spółdzielnię jak własny interes, choć gdyby był jego, tak by go nie traktował, bo wiadomo, wcześniej czy później poszedłby z torbami. A ci, którzy mieli obowiązek go ostrzec, zawrócić, wreszcie zaalarmować kogo trzeba, że źle się dzieje, zbyt długo milczeli. Tak to był układ i jak mógł być inny, skoro podtrzymywany był hojnie różnymi świadczeniami. M.in. z funduszu na rehabilitację inwalidów udzielano pożyczek na budowę garaży i remonty samochodów pracowników w wysokości o 50 proc. wyższej od dopuszczalnej. Prezes jadł posiłki na koszt Spółdzielni u siebie w gabinecie samotnie albo w towarzystwie już bez żadnej okazji, po prostu tam mu je donoszono dla oszczędności czasu, z restauracji.

Do czasu. W dniu 23 sierpnia 1985 r. Rada Nadzorcza Spółdzielni, m.in. w oparciu o wyniki lustracji CZSI odwołała Stanisława P. ze stanowiska prezesa, zaś po wyczerpaniu przez niego 180 dni zwolnienia chorobowego rozwiązała z nim umowę o pracę w dniu 14 marca 1986 r. Bogusław B. dotychczasowy wiceprezes został powołany na stanowisko p.o. prezesa Spółdzielni 9 maja 1986 r., jednakże kilka miesięcy później złożył rezygnację i podjął pracę gdzie indziej. Weronika G. 1 czerwca 1986 r. za porozumieniem stron — przeszła również do innej pracy.

W marcu 1987 r. poszkodowana Spółdzielnia już pod nowym zarządem po obliczeniu strat wyrządzonych przez poprzednią ekipę, które ustalono na ok. 2 miliony zł. wystąpiła z pozwem o odszkodowanie wobec osób wymienionych na wstępie tekstu. Jak ta sprawa była niejasna dowodzi fakt, że Sąd Rejonowy Wydział Pracy w Gorzowie oddalił powództwo wobec wszystkich pozwanych. Motywował, że działali w ramach legalności, gdyż idzie o pieniądze Spółdzielni, którymi dysponowali jako jej członkowie. Spółdzielnia nie zgodziła się z tym rozstrzygnięciem i m.in. na wniosek swojego radcy prawnego mgr Teresy Maruszewskiej wniosła rewizję od wyroku do Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, który uchylił zaskarżony wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania. Po przeprowadzeniu postępowania uzupełniającego Sąd I instancji tym razem doszedł do wniosku, że odpowiedzialność pozwanych znajduje oparcie w art. 114 kp, który określa winę za niewykonanie lub nienależyte wykonanie obowiązków pracowników oraz w art. 122 kp, który mówi o odpowiedzialności za zagarnięcie mienia społecznego lub też wyrządzenie szkody w tym mieniu w sposób umyślny i zasądził od każdego z nich odszkodowanie w wysokości trzymiesięcznego wynagrodzenia. Od Stanisława P. 159.709 zł., Bogusława B. 112.440 zł., Mirosława M. 76.081 zł. i Weroniki G. 106.596 zł.

Z kolei pozwani wniosli rewizję od tego wyroku, zarzucając Sądowi błędną wykładnię i niewłaściwe zastosowanie prawa, zwłaszcza art. 114 kp. Wydział Pracy Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze w składzie: wiceprezes SW Tadeusz Sojka, sędzia SW Stanisław Szlapiński i sędzia SW Romana Rejczak na posiedzeniu w dniu 29 września 1988 r. rewizję tę oddalił, utrzymując w całości wyrok Sądu Rejonowego. Trudno nie zauważyć, że dostrzegł także wymiar moralny tej całej sprawy.

Źródła i opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ

ALEKSANDER WOŚ

Niektórzy uważają mnie za faceta nie z tej ziemi.

W tym okresie czułem się silny i pewny siebie. Korzystny czas na tournée i pokazanie się fanom w dobrej formie. Miałem ochotę wraz z braćmi podbić cały świat. „Victory” miało być ostatnim show „Jackson Five” i wielkim wydarzeniem.

Tak się też stało. Było to największe tournée, jakie kiedykolwiek miało miejsce. Mimo to już od początku nie byłem zadowolony. Nie miałem czasu ani możliwości, by doprowadzić występ do perfekcji. Mój solowy numer z „Billie Jean” nie udał się. Nie sprzyły mu światła i tańczyło mi się kiepsko. Mimo to, było piękne uczucie móc ponownie śpiewać z braćmi. Mielismy znów okazję, aby się wspólnie powygłupiać. Robiliśmy to, co niegdys: napelnialiśmy wiadra wodą i zrzucałymi je z balkonów.

Było to w Waszyngtonie. Stojąc z Frankiem Dileo na balkonie, zacząłem dla żartu wyciągać mu z kieszeni banknoty studenckie i rzucać w dół, na ulicę. Niewiele brakowało, a ludzie pobiliby się o te forsy. Frank próbował mnie pohańcować, ale śmiałem się obydwaj. Potem wystaliśmy na szczył góry na dół, by szukali studenckich, które nie zostały zebrane.

Innym razem poprosiłem Franka do mojego apartamentu i zaproponowałem mu kawalek arbuza, który leżał na stole. Frank idąc, potknął się o moje go węża bo imieniem Muscles. Muscles jest łagodny, ale Frank nienawidzi węży. Zaczął wrzeszczeć jak opętany, a ja biegłem za nim z Musclesem w rękach i straszylem go. Frank wpadł w panikę. Wybiegł na korytarz i zabrał pistolet jednemu z naszych goryli.

— Złatwię tego węża! — wykrzykiwał. Uplynęła spora chwila, aż się uspokoił.

Zanim zacząłem nagrania do swojego nagrania do nowego longplaya „Bad”, bardzo dużo pracowałem. Dla „Disneyworldu” kręciłem film „Captain Eo” wraz z George Lucasem i Francisem Coppolą, zaś z Quincy Jonesem przygotowywałem „We Are The World”. Napisałem ten song w 1985 roku wraz z Lionelem Richie, po obejrzeniu w TV wstrząsającego reportażu z Etiopii. Byłem dumny z tego, że ta piosenka przyczyni się, iż świat stanie się lepszym miejscem do życia i pomoże głodującym ludziom.

Po „We Are The World” wycofałem się z życia publicznego, żeby w spokoju przygotować się do pracy nad „Bad”. Słuchałem dużo muzyki klasycznej: Debussy’ego, Prokofiewa i Czajkowskiego, jadłem dużo warzyw oraz owoców i bawiłem się z moim szympansem „Bubbles”. Było jasne, że ludzie będą porównywać „Bad” z „Thrillerem”. Postanowiłem pracować po woli, aby album zrobić perfekcyjnie. Jest mi dość trudno przedstawić, jak pracowaliśmy, ale wyglądało to mniej więcej tak. Piszę piosenkę i prezentuję ją Quincy’emu. On słucha uważnie i wysuwa propozycje ewentualnych poprawek. Przy tym oczywiście kłócimy się na temat szczegółów technicznych, lepszego brzmienia perkusji, albo w kwestii aranżacji. Nigdy nie próbowałem dopasować się do gustów fanów, dbaliśmy natomiast bardzo o wysoką jakość naszej muzyki.

„Bad” jest piosenką o życiu na ulicy. „Man In The Mirror” została napisana przez Siedah Garrett i Georgea Ballarda w duchu Johna Lennona: kto chce świat poprawić, musi zacząć od siebie. „Leave Me Alone” opowiada o związku dwojga ludzi, ten kawalek jest tylko na compact disc. Chciałem w nim wyrazić życzenie:

— Zostawcie mnie wreszcie w spokoju!

Może jest to trudne do zrozumienia, ale uważam, że tylko poprzez izolację mogę zachować swoją osobowość. Nie mam ochoty na udzielanie wywiadów, ani występy w showach. Nie chcę rezygnować z prywatnego życia. Tymczasem co bym nie robił, na drugi dzień piszą o tym gazety. Co kupiłem, jaki film obejrzałem, co czytałem. Prasa publikuje przebieg każdego mojego dnia i wyciąga na światło dzienne każdy szczegół mojego życia. Dlatego chowałem się, zakładałem ciemne okulary, lub ochronną maskę na usta. Na ten ostatni pomysł wpadłem, kiedy wyrwano mi zęb mądrosi i musiałem nosić coś takiego, by zapobiec infekcjom. Lubię te maski, bo chroni mnie przed otoczeniem.

Często pytają mnie, kim jestem na prawdę i za kogo się uważam. Mam nadzieję, że ten tekst odpowie na nie które pytania. Nie ma dla mnie nic ważniejszego, niż czynić ludzi szczęśliwymi i choć na chwilę odwrócić ich uwagę od problemów i trosk. Chciałbym, aby po każdym moim koncercie ludzie mówili:

— To było wspaniałe!

cząłem schodzić w dół. Nagle poczułem, że palą mi się włosy. Rzuciłem się na podłogę i intensywnie poczułem chronić głowę rękami. Jermaine, mój brat, widząc mnie leżącego, myślał najpierw, że trafiła mnie petarda. W jednej chwili zrobił się ogromny chaos. Ktoś zawołał „przyniescie łód!”. Przyjechała karetka pogotowia. Zdążyłem jeszcze przez moment zobaczyć przerażone twarze ludzi z firmy „Pepsi”. Kiedy dotarliśmy do szpitala, pod wejściem czekała grupa fotoreporterów. Poprosiłem wówczas o białe rękawiczki, które stały się dotąd niejako moim symbolem. Wtedy powstało to słynne zdjęcie ukazujące mnie leżącego na noszach i machającego ręką.

Dowiedziałem się potem, że te magnetyczne bomby wybuchły w odległości zaledwie 60 centymetrów od mojej głowy. Lekarze powiedzieli: „Cud, że żyjesz”.

Z tyłu głowy doznałem oparzeń trzeciego stopnia.

„Pepsi” obawiała się, że ta historia popsuje smak u pijących pepsi klientów. Ale stało się akurat odwrotnie. Pepsi sprzedawała się lepiej, niż kiedykolwiek dotąd.

Firma „Pepsi” zdając sobie sprawę z tego, że mogę ją zaskarżyć, wypłaciła mi półtora miliona dolarów odszkodowania. Dzięki tym pieniądzom ufundowałem „Michael Jackson Burn Center”, aby zrobić coś dla ofiar og-

kowo 14 milionów sztuk longplaya i kasety. Kiedy w rok zamykałmy „thrillerową” kampanię, sprzedano właśnie 32-milionowy egzemplarz płyty. Do dzisiaj sprzedano ich 40 milionów. Longplay „Thriller” okazał się najlepiej sprzedawaną płytą wszechczasów.

Im większe osiągałem sukcesy, tym coraz większą popularność działała na nerwy. Stałem się niesmiały i bojaźliwy. Zaczęłem nosić ciemne okulary, aby się za nimi ukryć. Podczas wręczenia „American Music Awards” w 1984 roku Katharine Hepburn zaprosiła mnie na scenę i zapytała:

— Dlaczego nosisz okulary? Fani chcą zobaczyć twoje oczy

W miesiąc później sam zdobyłem osiem „Grammy Awards” za „Thriller” i znów miałem okulary na nosie, kiedy odbierałem nagrody. Kiedy „Thriller” został wyróżniony także jako najlepszy album, zdjąłem okulary, spojrziałem w kamerę i powiedziałem:

— Katharine Hepburn, robię to dla ciebie!

Po tych wydarzeniach wróciłem do domu w Encino. Odżywałem się tam tylko warzywami i rzadko pokazywałem ludziom.

Dotychczas miałem okrągłą twarz dziecka, co mi się bardzo nie podobało. Zapragnąłem wyglądać inaczej. Zaczęłem prowadzić zdrowy tryb życia. Straciłem na wadze, a moja twarz wyszczu-

Znaczną część sukcesu „Thrillera” zawdzięczam Frankowi Dileo, mojemu menadżerowi. Kiedy go poznałem, był wiceprezydentem oddziału promocji w „Epic Label”. Jego znajomość przemysłu płytowego była po prostu bezcenna. Wydaliśmy „Beit” jako singel, podczas kiedy „Billie Jean” była na nit listach. CBS ostrzegła:

— Co robicie, zwariowaliście? To za bije „Billie Jean”!

Ale stało się akurat odwrotnie: „Beit” wszedł na listy, a wkrótce obydwa single znalazły się na top-ten.

Na początku roku 1983 było jasne, że singel „Thriller” odnosi sukces. Liczba sprzedanych płyt rosła z dnia na dzień.

16 maja 1983 roku wystąpiłem w TV w show z okazji 25-lecia firmy „Tamla Motown”. Prawie 50 milionów ludzi widziało ten show i szum wokół mojego występu bardzo przydał się „Thrillerowi”. W zasadzie nie miałem ochoty na udział w tym programie. Coś mogłem jeszcze mieć wspólnego z „Motown”? Zgodziłem się, bo Berry Gordy nalegał. Powiedziałem mu:

— Okay, wystąpię, ale z „Billie Jean”. „Motown” się zgodziła, choć to nie był ich utwór. Berry przeorsował nawet sprawę udziału w koncercie moich braci jako „Jackson Five”.

Zwolałem braciaków do kupy i cały mi dniami próbowałem w moim domu w Encino. Nie miałem nawet czasu, by przeciwyczyć własny numer solowy.

MICHAEL JACKSON

O sobie

(3)

Jeszcze w wieczór poprzedzający show nie miałem pomysłu, co pokazać na scenie. Snutem się po domu i nie mogłem nic wymyślić. Nastawiłem „Billie Jean” na full decybeli i poszedłem do kuchni. Stałem na środku i pozwoliłem się muzyce inspirować. Powoli beat wprowadził moje ciało w ruch i zrobiłem kilka tanecznych kroków. Było to jak przy mus. Wszedłem w trans i taniec rozwinął się sam z siebie. W taki sposób powstał słynny dziś „Moonwalk”, dalszy etap „Breakdance”. Robi się kroki w tył i wprzód jednocześnie, jak podczas spaceru po księżycu. Stąd ta nazwa.

Do występu dla „Tamla Motown” ka- zalem sobie przygotować czarny zakiet i kapelusz Fedora. Powiedziałem do mo- jego współpracownika Nelsona Hayesa:

— Po występie z braćmi będę stał na brzegu sceny i rozmawiał z publicznością. W tym momencie podasz mi dyskretnie kapelusz do ręki.

Tak też wszystko przebiegło. Powie- działem do widzów:

— To było wspaniałe, móc jeszcze raz wystąpić z moimi braćmi. Ale kocham także — tu Nelson podał mi kapelusz — nowe songi.

Obróciłem się na pięcie, włożyłem ka- pelusz na głowę i zaśpiewałem „Billie Jean”. Chętnie wspominam dziś mo- ment, gdy pod koniec piosenki otworzy- lem oczy i zobaczyłem, jak ludzie zach- wyceni słuchają. Potem powstał z miejsc i wstali. Była to jedna z najszczęśliwszych chwil w moim życiu. Moi bracia stali za kulisami i po raz pierwszy mogli zobaczyć, co rzeczywi- cie potrafie. Po programie obejmowali mnie i całowali, czego nie robili nigdy przedtem. Byłem bardzo wzruszony. Później spisałem przeżycia tej nocy.

Następnego dnia zadzwonił do mnie Fred Astaire i powiedział:

— Jesteś cholernie dobrym tancerzem. Rzeczywiście poderwałeś ludzi z krze- seł!

To był największy komplement, jaki w życiu słyszałem. Później spotkałm się w jego domu i tam pokazałem kroki „Moonwalk” choreografowi Astaire’a Hermesowi Pan.

Gdy do jesieni 1983 roku sprzedano 8 milionów egzemplarzy longa „Thriller”, mój menadżer, Frank Dileo powiedział, że już czas, abysmy zrobili następny vi- deo-clip. Zdecydowaliśmy się właśnie na piosenkę „Thriller”, od której long- play wziął swój tytuł. Akurat widzia- łem film „American Werewolf” Johna Landisa i byłem pewny, że Landis bę- dzie właściwym człowiekiem dla moje- go clipu.

Landis zgodził się, ale jego technicz- ne wymagania podwoiły zaplanowane koszty produkcji. A CBS która właś- nie zapłaciła za „Billie Jean”, zapowie- działa, że więcej pieniędzy nie da. Mu- siałem więc wyprodukować clip „Thril- lera” w podobny sposób, jak „Beit”. Z- by trochę zaoszczędzić, John Landis wpadł na genialny pomysł: zapropono- wał studiom MTV i „Showtime Gable Network” nakręcenie dokumentalnego filmu z realizacją naszego video-clipu.

Z teledyskiem „Thriller” byliśmy go- towi pod koniec 1983 roku. MTV nada- ła go po raz pierwszy w lutym 1984 ro- ku. Dzięki dodatkowym reklamom al- bum osiągnął zawrotne liczby sprzeda- nych egzemplarzy. Dzięki video i sing- lowi w ciągu półtora sprzedano dodatek



Fot. Archiwum

plala. Prasa zaczęła porównywać moje stare zdjęcia z nowymi i twierdzić, że dałem sobie zaoperować twarz.

Chciałbym w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że ani kości policzkowych, ani oczu nie miałem operowanych. Moje usta nie były zmniejszane. Okay, dwa razy miałem poprawiany nos i ostatnio brodę. No i co z tego? Judy Garland i Jean Harlow też miały upiększa- ne nosy i nikt z tego powodu nie robił afery.

W 1984 roku zdarzył mi się wypadek, który o mało co nie przypłaciłem ży- ciem. Była noc i kręciłem reklamę pe- psi-coli. Miałem schodzić po schodach, podczas gdy z prawej i lewej strony mo- je głowy wybuchły bomby magneto- we. Efekty tych błysków w ciemności- ciach były wspaniałe. Reżyser Bob Gi- raldi powiedział:

— Michael, za wcześniej schodzisz na dół. Więc postałem chwilę dłużej, odczekałem, aż wybuchły bomby i za-

nia, które miały mniej szczęścia ode mnie.

Myślę, że ten wypadek przyczynił się do wzrostu mojej popularności. Gdziekolwiek pojawiałem się, byłem otaczany ludźmi. Kiedy szedłem do te- atru, ludzie stawali w szeregu i ro- bili mi aplauz. Stałem kiedyś na bal- konie w „Disneyworld” i ktoś z ulicy mnie rozpoznał. Nagle tysiące głosów zaczęło wołać: „Michael, Michael!”

Echo niosło przez cały park. A ja wo- lałem do tych ludzi: „Jesteście cudow- ni!”

Praca i wysiłek, jaki włożyłem w „Thrillera”, zostały mi przez ludzi wy- nagrodzone.

Miewałem także dziwne przygody. Pewnego razu szedłem hotelowym ko- rrytarzem i słyszałem za plecami:

— Nie, to nie może być on. On ni- gdy by tu nie przyszedł. Przecież on jest nienormalny...

chaos
podobnie jak cień
na ustach niepokoju
niby krew duszny
rozszepia tkanki
rozmywa wyobraźnię
wyobraźnia
szuka delty ujścia
wtedy sen albo podróż
zsywa obrazy w kłębek
obrazy
do szpiku
niby nerwy
łączy sposobem
w jaki palce
układają warkocz

Od kreski do dzikiej róży i wiosny

na białej kartce
za mocno rozciętą
plakatką
niby jasna noc i wiatr
lamiający liśćmi
odbite na ścianach okna
jak byśmy próbowali pisać
imiona których nie znamy
z tym znakiem kojarzy się jeszcze zdanie
powstałe gdy słowo się rozpadło —
zdanie co ulotne
szuka
we mgłę
poła z wywróconą
na wierzch podszewką
ziemia
z ognisk
podnosi iskry
jesień
na ławce w krzewach
dzikiej róży
zaciśniętych
pięściami owoców
kałuża to motyl
we wszystkich kolorach
utykam — do buta wpadł sen
wiosną rzucony za koszulę

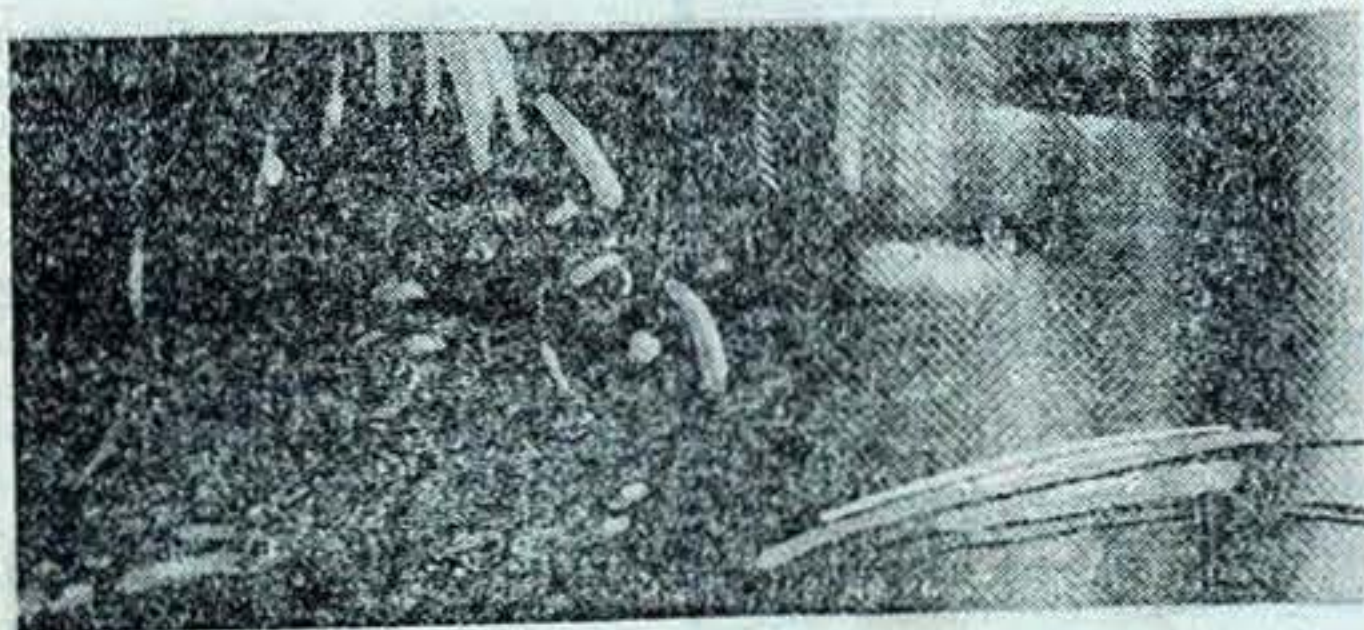
Tobie

oczy
pod powieką
za rękę łapia
pod powieką
za rękę łapia
pot usta oddech
usta podobnie jak sen
przegryzają słowo
tak jak morze łamie
fal opłatek
przy każdym ruchu
mrok
— żrenica obrazu
przechodzi
i odchodzi drogą dłoni

Adam Żuczkowski

Glaz

Jak glaz
miasto ciche między oczami jezior
na północ patrzy
skąd niegdyś przysła
biało-czerwona Pani
Jak wolsztyński glaz
zasiedziały
pomiędzy dżiadem powstańcem
a kupiecką lichwą codzienności
wypatrzyć
czy nie budzą się
kwiaty Konwaliowej Wyspy



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Już dwunasty rok wojna między protestancką Północą a katolickim Południem zbierała na Dolnym Śląsku obite żniwo. Kolejne suche lata przyniosły ludziami głód i pomór zwierzętom. Przewalające się wojska walczących stron dopielniały reszty. Gwałtom, rabunkom, pożarom nie było końca. Jakby tego jeszcze było mało, czarni zakonnicy, jak ich — jezuitów — miejscowa ludność nazwała, wszędzie weszli za herezję, czarami i kontaktami z siłami nieczystymi. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie, blady donos, a ofiara po wstępnych torturach z reguły padła na stosie. Płonęły stosy we Wrocławiu, Legnicy, Zielonej Górze; cesarski namiestnik, von Biberstein, urzędujący w Głogowie, przychylny jezuitom, lekką ręką zatwierdzał wyroki śmierci na niewinnych z reguły ludziach.

Wasza córka jest wiedźmą...

Jerzy Piotr Majchrzak

3 sierpnia 1630 roku Biberstein podpisał wyrok śmierci przez spalenie na stosie na dziewiętnastoletnią Annę Szwyer, córkę mistrza bednarskiego Jana, mieszkanki z Bytomia Odrzańskiego.

Jak doszło do tego strasznego wyroku, i to w miasteczku, które jeszcze nie tak dawno było siedzibą słynącego daleko poza granicami Śląska klasycznego gimnazjum o bardzo postępowym programie nauczania? Bytomska uczelnia od dawna była jezuitom przysługową „solą w oku”. Ta protestancka szkoła, założona przez Jerzego Schoenaicha, pana na Siedliszku, w roku 1612, została „staraniem” jezuitów zamknięta po jedenastu latach działalności. Wychowanymi tej szkoły byli znakomici poeci barokowej literatury Marcin Opitz, Andrzej Gryphius, Paweł Fleming, Opitz i Gryphius byli w służbie dyplomatycznej u królów polskich z dynastii Wazów; hiszpański „moulinet” i „moulinet” cińskim, niemieckim jak i polskim. Absolwentem bytomskiego gimnazjum był słynny Bartłomiej Pesz, późniejszy profesor matematyki w Heidelbergu, współtwórca teorii logarytmów. Kształcił się w Bytomiu Odrzańskim także Stanisław Opaliński, późniejszy wojewoda poznański. Ale wróćmy do naszej historii.

Jest lato 1629 roku. Warsztat bednarski znanego mistrza i obywatela miasta Bytomia Odrzańskiego Jana Szwyera mieścił się w tzw. Zaułku Rybim, nieopodal Odry. Mistrz Jan cieszył się opinią znakomitego fachowca i pobożnego mieszkanki. Jego rodzina od lat zasiedziała w Bytomiu przekazywała fach bednarski z pokolenia na pokolenie. Mistrz Jan był zatroskany, gdyż nie posiadał męskiego potomka, któremu mógłby przekazać swój warsztat. Miał córkę, Annę. Kiedy przyszła pora wydać ją za mąż, ojciec upatrzył na zięcia jednego ze swoich czeladników, Bogumiła Pappela, prawie że członka rodziny. Mistrz wiedział, że młodzi nie są sobie obojętni.

Burgrabia bytomskim w owym czasie był niejaki Henryk von Poelke, fanatyczny katolik i zausznik jezuitów. Z jego to przyzwolenia glogowscy jezuiti rozpoczęli w Bytomiu Odrzańskim działalność kontrybucyjną i nie przebiegającą w środkach — akcję nawracania na katolicyzm. Nie uszły uwadze mistrzowi Janowi zaloty Poelkego do Anny. Burgrabia jednakże nie nie użył. Odrzucając postanowił zemścić się na dziewczynie i po spreparowaniu odpowiedniego donosu wydał ją w ręce trybunału Świętego Oficjum. Krótko przed świętami Bożego Narodzenia Anna z rozkazu Poelkego została zabrana z rodzinnego domu i przewieziona do Głogowa. Na nie zdążyły się protesty mistrza Jana, odwołania do rady i starszych cechowej. „Wasza córka jest wiedźmą — oświadczył Szwyerowi burgrabia — i strzeżcie się, mistrzu Janie, aby i was nie spotkał ten sam los”. Jeszcze tego samego dnia naręczony Anny, Bogumił Pappel, wymknął się potajemnie z miasteczka i konno udał się do Siedliszka szukać pomocy u pana Schoenaicha. Ten jednak z polecenia cesarza posłował do Turcji i młody Pappel nie nie załatwił.

Tymczasem Anna stanęła przed prowincjonalnym inkwizytorem, ojcem — jezuitą Henrykiem Gwiesiusem. Oskarżona została o „utrzymywanie stosunków lubieżnych ze Złym... uczestnictwo w sabatach czarownic, rzucanie uroków...”; są świadkowie, głosił akt oskarżenia, którzy widzieli ją, jak „w bezceś siedząc, leciała nad miasteczkiem na spotkanie z czartem...”, a także, jak pod jej stopami usychała trawa i ziemia, i z wygaszonych palenisk buchał płomień, gdy tylko zlażyła się w pobliżu popielników. Anna nie przyznawała się do winy. Zastosowano więc wobec niej niewyszły stopień tortur, tzw. próby szwedzkich butów i rekawic, polegającej na ścisaniu obręczami stóp i rąk. Anna w dalszym ciągu nie przyznawała się do zarzucanych jej czynów. Poddana ko-

lejno próbie wody, ognia i „żelaznej dziewicy” — zemsta.

Mistrz Jan Szwyer bezskutecznie zabiegał w Głogowie o widzenie się z namiestnikiem cesarskim Bibersteinem. Bednarz był przekonany, że Anna padła ofiarą zemsty odrzuconego burgrabiego bytomskiego Poelkego, że cały akt oskarżenia jest jego dziełem i jezuitów, którym przypadek Anny potrzebny był do wywarcia presji i wywołania strachu wśród mieszkańców Bytomia. Szwyer był przekonany, że sprawa nie miałyby miejsca, gdyby pan Schoenaich był na miejscu. Ostatnią szansę uratowania Anny upatrywał w ławie miejskiej Lwówka Śląskiego, urzędu, który na mocy cesarskich dekretów sprawował nadzór nad procesami kryminalnymi toczącymi się na obszarze księstwa glogowskiego. Lawa wysłuchała Szwyera i orzekła, że przypadek jego córki nie podlega jej kompetencjom, gdyż rozprawa toczy się przed sądem inkwizycyjnym, a nie grodzkim. Pozostała więc tylko jedyna możliwość: szukać pomocy na dworze cesarskim w Pradze. Mimo toczących się działań wojennych, Szwyer postanowił udać się do Pragi i przedłożyć majestatowi swoją sprawę.

Już piąty miesiąc Anna przebywała w więzieniu glogowskiej inkwizycji. Poddawana ciągłym torturom była już tylko strzępem człowieka. Do winy się nie przyznawała. Przetrzymano ją w całkowitej izolacji. Na początku sierpnia 1630 roku zapadł wyrok: Annę Szwyer uznano za duszę nieczystą, skazaną na oczyszczenie przez płonący stos.

Dnia 11 sierpnia Bytom Odrzański stał się widowiskiem ponurego przedstawienia: na tzw. Kowalowym Klepisku, za murami miejskimi, ułożono stos z pałem, do którego przywiązano na pół już żywą dziewczynę. Z rozkazu burgrabiego Poelkego mieszczaństwo Bytomia musiało uczestniczyć w tej makabrycznej ceremonii. Opornych pachołków namiestnika siłą pędzili na plac straceń. Mistrza Jana nie było wśród przymusowych widzów, nie wiedział nawet o tym, że córkę skazano na śmierć, mimo że Biberstein został poinformowany o próbie Szwyera dotarcia do tronu z prośbą o łaskę dla niewinnej Anny. Nie było także Bogumiła Pappela, którego w porę ostrzeżono, że jego powrót do Bytomia równa się skazaniu go na śmierć. Poelke wysłał nawet za nim swoich pachołków, ale nie zdołano go pochwylić.

Skazanie i spalenie Anny Szwyer jest najbardziej ponurym epizodem z dziejów tego uroklivego miasteczka nad Odry. Sprawa tragicznego losu Anny — burgrabia Poelke — zginał w tajemniczych okolicznościach w roku 1632 w drodze do Głogowa. Wiele gmina głosiła, że stało się to za sprawą Pappela, który w ten sposób wymierzył sprawiedliwość na zniechęconym przez Bytomian burgrabim. O mistrzu Janie wszelki śluch zaginął. Warsztat bednarski przejął po nim jego szwagier August Kuler.

W Bytomiu Odrzańskim stos zapłonął tylko raz. W Zielonej Górze płonęły do końca XVII wieku; pastwa płomieni padła siedem niewinnych kobiet.

O tych straszliwych czasach opowiadają zachowane w archiwum kroniki miejskie i kościelne.



JESZCZE O CZAROWNICACH

Najnowsza książka Wiktora Woroszyńskiego to zbiór krótkich tekstów prozatorskich, których wspólnym tematem jest istota mechanizmów rządzących historią, rola, jaką odgrywa w ich funkcjonowaniu jednostka ludzka i jednocześnie oddziaływanie procesów historycznych na los pojedynczego człowieka. Historię więc pojmujemy autor nie tylko jako zapis czynów ludzi wielkich i wyjątkowych, lecz jako sumę zdarzeń, procesów i zjawisk, w których jednostka wyróżnia się na miarę swej indywidualnej wielkości.

W krótkiej przedmowie do książki Wiktora Woroszyńskiego tak uzasadnia zamysł i sens jej powstania: „Moje małe historie pochodzą z Historii, odległej i bliskiej, ale stopień ich zależności od źródeł jest niejednakowy: nie które powtarzając to, co odnotowano gdzie indziej, legitymują się jedynie odmiennym sposobem opowiadania i własną refleksją — inne posuwają się nieco dalej w domysły i rekonstrukcje faktów. Dotyczy to również historyczności postaci, są wśród nich i takie, które obdarzył nią dopiero autor umieszczając je jednak w zaświadczonych przez źródła sytuacjach”.

Swe „historie” Wiktora Woroszyńskiego spisywał w różnych latach i sytuacjach politycznych. Czynił to często na marginesie innych prac i lektur, zarówno historycznych, jak i dotyczą-

cych bieżących wydarzeń. Niewielka objętościowo książka, a właściwie zbiór krótkich, dwudziestu dwóch esejów historycznych, to rzecz by można — intymne narracje autora o ludziach dalekich i bliskich. Woroszyński umieścił te postacie na szerokim tle historycznym i historyzoficznym. Jego bohaterowie nie żyją-działają ale czują i rozumieją. Wiele z nich zostało tragicznie uwikłanych w Historię.

I to właśnie uwikłanie w strukturę rzeczywistości stanowi główny wątek esejów Woroszyńskiego. Cechuje je warunki nurtu narracji. Jest to opowieść o wirującym rytmie, pełna dramatów, rozterek i wyborów, najczęściej osobistych. Przed oczyma czytelnika przewijają się liczne postacie z historii i teraźniejszości, zarówno te wielkie jak i małe. Odnaleźć możemy w „Historiach” wybitnych rewolucjonistów, pisarzy, poetów, kaznodziejów, a także ludzi prostych, z gminu — rzecz by można — się wywodzących, jak owe nieszczęsne czarownice z Zielonej Góry, które stanowią temat pierwszego eseju Woroszyńskiego.

W „Czarownicach z Zielonej Góry” Woroszyński stwierdza: „Helena Klich i jej dwadzieścia dwie towarzyski splonęły z chęci namiętnej nie pozostania w tyle za Europą, nie własnej chęci tych akurat kobiet — ambicja taka traktowała raczej Imię Adama Seribanusa sędziego w Zielonej Górze — tudzież pozostałych współsędziów”. Taka była Europa XVII wieku. Rzekome czarownice przyznały się do winy, pod wpływem okrutnych tortur i wyrafinowanych metod śledztwa. Splonęły na stosie i „Tak skończyła się nieudana próba dorównania Europie” — pisze autor.

Inny dramat przeżył pastuch, woźnica, marynarz i wreszcie rzeźnik pariski Legendre. 20 czerwca 1792 r. ru-

szyl na czele pochodu na Tuilleries i odrzekł Ludwikowi: „Panie nie chcemy być dłużej zabawką w twoich rękach. Jesteś przewrotnym zdrajcą...”. Legendre służył gorliwie Wielkiej Destrukcyj, z której miał się wyłonić świat szczęśliwych i równych obywateli. W okresie tyranii Robespiera stał się nowym człowiekiem. Uwierzył bowiem w wolność i stał się jej gorącym admiratorem. Przeżył burzliwie trzy żywoty, zanim skończył spokojnie na własnym łożku.

I jeszcze jeden dramat człowieka uwikłanego w Historię. To Stefan Zweig, który w hotelowym pokoju w Petropolis (Brazylia) polknął i popił wodą „proszek śmierci”. Reżim narodowo-socjalistyczny pozbawił go własnej ojczyzny, odmówił miejsca należnego mu w kulturze. Musiał emigrować, jak wielu innych twórców z Niemiec ogarniętych brutalnym terorem. Nie zniósł dramatu Niemiec w okresie hitlerowskiej dyktatury. Popiełnił samobójstwo z rozpacz, ale w jakże odmiennych sytuacjach aniżeli Adolf Hitler.

Warto więc sięgnąć po mądrą i pouczającą książkę Wiktora Woroszyńskiego. Po to chociażby, żeby wczuć się w rytm minionych epok i ludzi w nich egzystujących. Po to wreszcie, żeby lepiej zrozumieć Historię i prawa nią rządzące. Nie jest to Historia Wielkich Ludzi, tak jak żył sobie tego Thomas Carlyl, chwalebny tylko jednostki wybitne. Jest to natomiast Historia Ludzi, bez których też nie mogłoby być Historii Prawdziwej, pełnej osobistych rozterek, dramatów i wyborów, słowem — Historii Ludzi Myślących i Żyjących.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Wiktora Woroszyńskiego: Historie. Warszawa 1987 r. Nakład 10 320 egz. Cena zł 150, Stron 87.

(...) Nigdy nie dojrzałem, co też kryje brezentowy worek zawieszony systemowo i wiszący zawsze u wezwłowa Chichły. Teraz też zastanawiam się, co wyciąga, po czym zawiązuje natychmiast. Wreszcie podaje mi jakiś papier. — List od mojej Kaśki — mówi z drwiną, która jest mi obojętna, bo nie dotyczy mnie... — Przeczytaj głośno — dodaje. Czytam: „Rysiek. Wiesz, jest taka piosenka, której refren brzmi:

Czemu mnie okłamałaś
Głupią komedię grałaś
Czemu z miłości mej zdradziłaś
Co między nami było
Już wszystko się skończyło
To był mój kaprys twoja gra

Jakże to idealnie pasuje do naszej obecnej sytuacji. Nie dodać, nie ująć. Rysiek! Ty nawet nie wyobrażasz sobie, do czego jestem zdolna w tej chwili. Mogłabym z zimną krwią wsadzić ci noż w serce i nawet by mi ręka nie drgnęła. Za to wszystko zło, jakie ty mi wyrządziłeś. Boże! Nie mogę sobie uświadomić, że to już koniec. Ze ty, którego tak kochałam i kocham — tak podle ze mną postąpiłeś. Ja ci w życiu tego nie przebaczę. Powiedz sam, co ci dali koledzy. Sprawił, że siedzisz w więzieniu, że nie masz pieniędzy, że zostałeś sam. Zawsze oni byli ważniejsi. Teraz im dziękuję za wszystko. Bo ja żyję, żeby ci pierwszy tramwaj przejechał...”

Zakończyłem czytać z fałszywym westchnieniem. Chichła dalej chodziła. A właściwie nim rzucała.

— W nocy, kiedy baba jest zła — zakpiął wreszcie — przejedziesz po rowie, i zgoda. Ale jak to zrobić listownie?... — Kochałaś ją? — pytam.

— Miałam w sobie coś — wykrztusiła.

— I ma?... —

Nawet gdy jest z innym, Jakub, to ją będzie brał sobie i tak. Parę lat współżycia się liczy. Tylko jedna eks-żona da ci się wyruchać w łóżku nowego męża. druga przyjdzie do twojego łóżka... Każda baba jebnięta. W knajpie patrzy, co drogie, a nie smaczne, gdy zaś stanie przed komiś, to ją ani odciągniesz. W zimie moja Kaśka żarła pomidory. Kilo — sto pięćdziesiąt złotych. „Kobito — jej mówię — za to byłby litr i ćwiartka.”

A ona mi: „Co mnie to obchodzi”. Już nie nadążałem kręcić...

— Cierpiałbyś, gdyby Kaśka odeszła?

— Parę dni na pewno. Lecz nie, żeby się wiesz. Zresztą takiej śmierci bym nie wybrał, bo wieszają najgorszych. A ja jestem złodziejem. Bym sobie raczej brzuch rozpruł. Najłatwiejsze konanie podobno... Ale to się zostawia na ważną okazję. Lecz nigdy przez dziwkę. Teraz siedzę, a żonusia lata po wolności...

Chichła wstaje i spluwa do kibla.

— Kiedy wyjdę, byle szankra nie dymam — powiedział raz Kmicic. — Czekam na uczciwą. Taka, co za pół dnia znajomości idzie ze mną do koja, to jest dla mnie prostytutka. Tufta! Moja zna taką wydymać dla sportu czy z nudów. Na wet cwela jak nadstawi kopiejkę. Chociaż ja żywego chłopca bym chyba nie je..., lecz rozumieć napaleńców. Ale tak naprawdę warto iść do koja wyłącznie z miłości. Bez uczucia lepiej się branzłować i czekać na miłość. Choćby parę tygodni czy nawet miesięcy...

(...) ZbP znów wzdycha, że miał więcej cweli niż dziewczyn. Ja wzdycham, że on się krepuje opowiadać mi szczegóły swoich męsko-męskich przygód. (...)

— Widzę, że balachu ci wciskać nie mogę, a prawda mi idzie ciężko. Wstyd po prostu — mruczy.

— To nic — zniżam głos. — Tak będę o tobie pisał w „Zbrodni I...”. „Zaczynamy temat i go nie kończysz. Jak o tym lekarzu... Tym na dołku w Komendzie...”

ZbP rumieni się dziecinnie.

— Jakub! Kiedy ja go w końcu nie dymałem. Naprawdę! On nie był cwel. Ale też byś się po mylił, gdyby ktoś ułożył przy tobie materac i odwrócił się dupą. To mu schłodził rajty i pchał knota w styję. Dabym głowę, że chciał się je... Leżał, nic nie mówił... Aż naraz jak się z krzykiem nie zerwie. Wziął ten swój materac i ułożył w drugim kącie celi. Powiedział mi coś bał się, bo ja obdzierany i z cynkiem przy oku. Jakub! Jak mi było głupio. Dobrze choć, że reszta to byli niewytrzeźwiali jeszcze pijacki wywleczono z melin i spali... — Milkinie. Cisza w celi uwiiera nie mniej niż w salonie.

— Może to ci się nada do twojej książki — proponuje mi ZbP, zmuszając się do grzeczności, która przeszkadza mu jak za ciasny kołnierzyk. — Wszystko, co mi powiesz o sobie, jest dla mnie bezcenne — rozpromieniam się.

— No to słuchaj: siedzę sobie pod celą... — mówię już cichiej — ...i czytam gazetę. Nagle otwierają się drzwi i gad wpuszcza jakiegoś zło dzieja Patrze... A to główny świadek oskarżenia do mojej sprawy o cwela. Z mojego popraw czaka, tylko z innej grupy: sypanie mieli obok naszej. Patrzę dalej znad gazety. Inni w celi ob-stąpili go, wypytują skąd jest, za co siedzi. On im coś truka... Poczekaliśmy aż gad odeszł, bo nas lubił podsłuchiwać i odjąłem gazetę z twarzą. „No więc mam ci kurwo” — mówię.

A on: „Panie Zbyszku, wszystko będzie robił, tylko niech mnie pan nie bije”. Miał tyle lat, co ja wtedy, znaczny osiemnastolatek, ale chyba wsty skie parszywe. Truham ludziom w celi, że ten wyrok mam wyłącznie przez niego. Chcieli mu spuścić beki, lecz ja, że pomału. Odmierzałem mu metr na metr betonu przy kiblu i mówię: „Kurwo, będziesz bity, jak stamtąd się ruszysz”.

Od czasu do czasu ktoś się lenił dupę sobie po-detrzeć, to mu kurwa podłaził, albo ktoś miał krostę na jajcach, to mu wygniół. Co dzień kładł się na kiblu i dostawał szcztoką dwadzieścia pięć. W gołą styję. Aż zaczęli go je... Po mie-siacu widzę, że trochę za ostro. Jedne słice mu nie zeszły, a już ma drugie. Więc mówię chłopakom: „Nie lejta go jakiś czas. Trzeba kurwę wygnąć z celi, bo się wpiędo... w szambo”.

Po tygodniu nawijam gadowi: „Panie, bierz pan te parówce, za jaja nas łapie, chce, żeby go pier... my się tego brzydzimy”. Nie wziął. Toś-my założyli głódówkę. Przychodzi komendant. Gadamy, że jeden wyrok na lewo za cwela już mam i mi to starczy, niech stąd biorą padlucha. A on, żebył ja się pakować... Dali mnie pod inną celę, a tamteżo wywieźli — sanie ZbP z ul-gą dobrze spełnionego obowiązku. Wobec mnie. Choć pominął najważniejsze: czy w tej sprawie z poprawczaka bity i gwałcony osiemnastolatek zeznał o nim prawdę. Na pewno... (...)

I Książę też miał sprawę o cwela... I Icek, i I! Ciekawe, że akurat ich wybrałem na książko-wych bohaterów.

Icek po prostu twierdził, że uwielbia ładnych cweli. Biedak! Szarpał się w szponach swojego kodeksu, broniącego „człowiekowi” najdrobniejszych pieczętów z cwelami. Na dyskreję nie mógł liczyć. Każdy cwel pochwaliby się i cieniem pieczętów zaznanej od Icka, taki marzy bowiem najpewniej, aby wszyscy „ludzie” spadli do jego poziomu. Jakież to ludzkie marzenie. Może Icek najpierw zagroziłby cwelowi morderstwem. Jeśli ten coś piśnie, i dopiero wtedy pogłaskałby go po plecach czy ramionach. W grun-tu rzeczy tylko ktoś, kto nie zna więzienia, może się zarzekać, że on by tego czy tamtego nigdy nie zrobił. Ja, chociaż przebyłem w więzieniu tyle lat uczciwie, staram się zrozumieć wszystkie słabości człowieka więzionego. Gdy przy-cięnie głód bliskości drugiej żywej istoty, to się bierze cwela i żyje się z nim albo go się tylko maltretuje.

— Panowie! Młodego cwelika w więzieniu to się bardziej kocha niż wujka rodzzonego — chichocze Chichła. — Kiedy dupcie ma cwelusię gładziutką, to raj!

Ja byłem w więzieniu nieraz zakochany jak uczniak.

Gdy złodzieja ogarniają żądze jak na pustyni, zapomina o strachu przed kilkunastoletnim wyrokiem za więzienny gwałt. Jakiegoś uległego młodego skazanka, obezwładnionego brutalnie, ale i pokornie, oblała się w urodę hurysy w ha-

zbrodnia I...

Jerzy Trębicki

(2)



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ

remie. Aż do ulgi w podbrzuszu? W głębi duszy? W mózgu? Chyba wszędzie jednocześnie. Jednak rozkosz jest chyba większa dla postronnych... Otóż haremowe igraszki dzieją się z zasady nie tylko między kratą a drzwiami z judaszem, lecz i pośród bacznej obecności reszty z celi. Niby nie patrzącej, gdy się to odbywa w dzień, albo niby śpiącej w nocy.

Tymczasem jedni zerkaają dla podnieci w zabawie z samym sobą, jakby liżąc cukier przez szybę. Inni kontrolują, czy brat „człowiek” nie spłami się dotykając cwela bardziej, niż to dozwolone. (...)

— Jakub! „Rozwydrzeni recydywiści” pier... o nas przez głośnik — uskarża się Icek. — Zesmy się znęcali nad słabszym. „Bili, torturowali oraz przy użyciu przemocy fizycznej wymusili stosunek homoseksualny” — cytuję z namaszczonego. — Wiesz, jak kurwy przesadzają — uzupełnia pogardliwie. — Fakt, że trzy więzienne gwałty zbiorowe pękły wtedy na Białolecie w ciągu kilku miesięcy — kiwa głową z chichotem, a czarna w nim rozpacz. Chociaż ukrywa ją, zgry-wając się.

— Pięć minut je..., zaś branzłowania dziesięć lat. Tylko przed gadami oraz przed koleżkami małolaty są rycerze — konstatuje Chichła trzeźwo. — Nocą bractwo płacze w zagłówek, że kurwy tak szkali.

Icek dusząc się ze śmiechu, ledwo może mówić.

— Jeden zgred — łapie oddech — mdał na koju, jak Sagan z Buldogiem swego cwela dymali. Potem tak zeznał na sprawie:

— Proszę Wysokiego Sądu! Ja widziałem róż-ne rzeczy. I że ludzie ludzi katowali. I że zabijali. Czy ze sobą żyli rozmaicie. Ale nigdy, by pier... chłop chłopca — naśladuje wiejską mowę Icek. Wybuchamy rechotem.

Zaciskam powieki.

Nakryty z głową kocem widzę mimo to szarość przedświata. Ciągłe się budzę. Niedawno czy-tałem powieść erotyczną, czterdziestokartkowy zeszyt zapisany maczkiem, pióra anonimowego więźnia. Marzą mi się nocami kobiety! Za dnia ssie mnie w dole brzucha. Wyłączność męskiej płci dookoła w końcu brzydzi. Aż się boję, że straciłem apetyt na chłopców. Choćby który był śliczny, jak Iza sławetny cwel, którego adres za-pisałem sobie wczoraj... (...)

— Jakub, obliczyłem! Palców jednej ręki za-dużo na wszystkie moje dziewczyny. I połowę dymałem po razie... Takiego giganta z dworca pier... w kuchni, za to wszędzie. Ale głównie ze-złości. No bo mówię „Rozbiera się”. A ona się rozbiera. „Tylko nadstaw”. Nadstawia. „Weź do-mordy”. Bierze. Miałem wstręt do bab całej dwa tygodnie. Dla mnie łatwa dziewczyna to szan-kiar. Uczciwa odpęda chłopaka jak mnie Elka. Ją jedną kochałem. Resztę żem wyszturgał i po-bału. Z Elką była loteria o wszystko. Nieraz jej mówiłem: „tak!” Ona na to „nie”. „Tak” — krzyczę. „A właśnie, że nie” — ona jeszcze gło-sniej. „Tak” — i przypier... w coś piąchą. „Ona „nie” — i dwiema piąchami przypier... mi w ryl. „W piz...! Nie znamy się” — jej oświadczam. „No to się nie znamy” — oświadcza mi Elka. Zabrałem się. Ale spodobalo mi się, że umiała postawić na swoim. To wróciłem... Gdzie tam. Całe trzy tygodnie dawała wtedy szlaban na piz... Dopiero wolniutko... Biał-biał... aż się bła-towałam całkiem. Dzień dwa było dobrze i od-nowa... Podało mi się z Elką — wykrzykuje

go cwela z poprawczaka. Więc ch... z portek wy-walim i chodzę. Patrzę ci ja po lipiach, a tam w każdym pełno kurw. Machają. „Alfonziku ko-chany” — krzyczą i mi ślą całusy. Strażnik wrza-szał na nie z dołu, to mu kosz do śmieci spu-szczył na baniak. „Frandek, zrzuć mi karabin” — drze się strażnik do kogutkowego na zwyżce. — „Ja te kurwy wyszturzałem”. A tymczasem one ciś-kają mi usługi, machorę. Jakies grypsy. Zebym z tą i tamtą pisał. Zebym jakieś posłał klaków z jajec, to mi podkopa klaków z piz... Aż tu je-den kolezka zawołał do mnie z męskiego oddzia-łu: „Zbyszku, stary piz...!” To jakby słodczy dziw-kiem ręką odjął. Zaczęły mi z lip ciskać mię-sem.

— Ty palancie, ty cwelu, ty ch..., ty taki i owa-ki!”

Pomachałem im fujara, roześmiałem się i po-jechałem: „O wy, koniekie minciari! O wy, kur-wy, rury w mordę wyje...! Wy cwelice...” — ZbP się zająknął. W milczeniu wyszczał szampon z-butelki od syropu przeciw kaszlowi. Czynił to w namaszczeniu trąc szlabem po swej klatce pier-siowej. Wciąż chłapięco gładził. Cóż dopiero wtedy na tym spacerunku... Z ostatnimi kropla-mi szamponu woń róż zdźwignęła się jeszcze raz. Już bezpłodnie. I zgasia wśród ziejących feto-rów.

— U nich baba, która liże babie, to cwelica — tłumaczył mi kiedyś Władzio. — Tak samo jak u nas chłop, co liże chłopu, jest cwel. Lecz ich bluzgi dla nas się nie liczą... W miednicy woda ścięła się, prawie lód. ZbP siedzi jak w przereblu. Zastygły. Z ręką na tej swojej mę-skości. Smutny jakby coś postradał. (...)

— Ja też, ZbP, miałem więcej chłopców, niż kobiet — szepczę. (...)

Icek daje mi w prezencie dwa listy miłosne od jakiejs więźniarki. Czytam pierwszy list:

„Skarbie! Dziękuję Ci za gryps, który odebra-łam wczoraj po kolacji. Potem wyszczałam, jak ktoś krzyknął przez okno „Kasiu”. Czy to Ty? Grypsy będziemy chować w pleciku idąc na spa-cer. Może nikt ich nie znajdzie. Skarbie! Moja miłość do Ciebie jest również bezgraniczna. Pi-szesz, że widziałeś mnie. Ja Cię Kotku nigdy. A chciałabym. Jak wyglądasz? I jak jesteś ubra-ny? Napisz. I czy jesteś żonaty. Bo nie chcia-labym się rozczarować. Tak pragnę, abys uwie-rzył, że kocham Cię nad wszystko. Nie zdradzę Cię nigdy i chcę się z Tobą związać poważnie. Czy wyrażasz na to zgodę? Ciągłe czuję, jak ca-lujesz moje spragnione usta”. (...)

Czytam drugi list:

„Cipulku! Gryps otrzymałam, za który Ci dzie-kuję. Bardzo mi smutno, że już sobie wybrałeś żonę. A więc ja odpadam? Tak? Cóż robić. Nie mam szczęścia. Skoro Ty na stałe masz inną. Ale ja Cię kochać nie przestałam i nie przesta-nę. Marzę o tym, abyśmy się kiedyś spotkali i powspominali to nasze tragiczne uczucie. (...) Ze-bym chociaż raz Cię zobaczyła. Tęby mi leż-przetrwąć ten czas samotności. Cipulek. Dłacie go to, co piękne, tak szybko przemija. Koperku, o który prosisz, nie załączam Ci. Myślę, że zro-zumiesz mnie i pokochasz jeszcze bardziej. Cipu-lek. Dam Ci wszystko, gdy mnie poznasz bliżej. Ca-luję Cię nieprzerwanie. Twoja kochająca Cię Cipcia.”

— Koperk? A to, co znowu? — dziwię się. Wszyscy śmieją się ze mnie...

— Jakub! To są kiaki z cipy — chichocze w głos Icek. I zaraz smutnieje. (...)

— Jeden małolat miał widzenie z siostrą — wspomina bardzo głośno Władzio. — I ten ma-lolat potrzymał ją za piz... To jak wrócił pod ce-lę, dawał wachać chłopakom paluchy...

— A ja dostałem klaków! Ze trzydzieści wio-sków — rzuca bombę Iż.

— Pokaż!

— Czegoś nic nie gadał? (...)

— Ach, ty, Iżu, samolubie — dołączam się dla porządku i ja do ich zachwyty. Jak się okazało pło-nego.

— To było za tamtym wyrokiem — opęda się Iż. Także na patrzonku. Sięgnąłem pod majtki mojej kurwie i wyrwałem. Dala mi po ryju — krzywi się filozoficznie. — Wróciłem pod celę i nawijam do cykłów: „Wachajta skurwysyny. Je-szcze ciepło!” — Cieszyli się jak dzieci. Icek ma grobową minę.

— Jeden wrócił też z widzenia — mówi po-grzebowo. — Z kupą klaków w garści. I też ga-dal, że swojej babie świeżo wyrwał z piz... Ale nie miał co jarać, więc je zaczął sprzedawać. Po-sługa za klak. Potem jedną łapę z klakami przy-tykali do mordy — drugą walił konia. Po apelu to się koje aż trzęsły. Bo dwudziestu chłop-aków obdziałli klakami. Następnego dnia idzie-my do łaźni. Patrzmy... A on, Jeba, a ma całe jajca gołe. Obstrzygił je sobie i rozkopał własne klaki, a nie oby. Tak go żeśmy za to skopali, że mu pękł kregosłup. Ja tam nie wahałem — kończy Icek jakby recytował rapsod żalobny. (...)

„Je... mi się chce” — woła bez przerwy dwu-dziestolatek miotając się po celi. Trzy kroki w jedną stronę i tyleż z powrotem. A następnie wy-daje ten krzyk. Dostał osiem lat za gwałt do-konany w pięciu chłopaków na starszuszce han-dlującej wódką. Już cztery lata tak woła. Cza-sami bez słów, jak pies do księżycy... (...)

Jerzy Trębicki: „Zbrodnia I...”,
Wydawnictwo Literackie. Kra-
ków 1989 r..

Dzieci KOSMOSU

Ktoś mówi: „Zmarnowałem życie”, albo „Straciłem szansę”. Bo życie składa się ze straconych szans! Zawsze jest czego żałować i zawsze straci się więcej, niż zyska! Spróbujmy temu zaradzić. Przyjrzyjmy się sobie i skorygujmy nasze postępowanie.

Każdy z nas, to niepowtarzalny „ego”, odrębna osobowość, inne rozumowanie, odmienne reakcje. Po prostu każdy człowiek jest inny! Jesteśmy jednostkami w gigantycznej społeczności świata! Dziećmi kosmosu, przywiązani do kuli ziemskiej!

Na Ziemi chaos, a tam w górze niezmienny od stuleci porządek. Nasz organizm, jego budowa i funkcjonowanie, czyż nie są odbiciem układu słonecznego? Słońce nas budzi, księżyc kołysze do snu. Ale ciała niebieskie jest więcej i każde narzuca nam inną funkcję — indywidualną, społeczną, uniwersalną!

Rozpoczynamy dziś druk sensacyjnego opracowania pt. „Dzieci kosmosu”, w odcinkach osobnych dla obojga płci.



KOBIETY SPOD ZNAKU RYB

Urodziłaś się w okresie od 20 lutego do 20 marca. Twój znak zodiaku — Ryby, znajduje się, wraz ze znakami Raka i Skorpiona, w trygonie wodnym, a więc Twoim żywiołem jest Woda, natomiast Twoją planetą opiekuną — Neptun. Jaka jesteś?

Wrażliwa, delikatna, romantyczna, subtelna. Łatwo Cię dotknąć, urazić, zranić, za to Ty nigdy nie ranisz innych. Opiekujesz się każdym, kto potrzebuje pomocy. W obliczu niebezpieczeństwa innych zapominasz o własnych sprawach. Wybaczasz wrogom, nie jesteś mściwa i zawzięta. Kochasz wszystko, co żyje i skłonna jesteś do ofiar i poświęceń dla dobra ludzi, organizacji, do której należysz, ojczyzny i narodu.

Przy tym — co za intuicja! Podczas, gdy towarzysze siedzą spokojnie przy rozmowie lub telewizji, Ty nagle doznajesz uczucia, które zwykło się określać: „Cis mnie tknęło”. Wybiegasz, wpadasz do domu i sprawiasz, że Dziecko dostało gorączkę, mąż wrócił skłopotany, zabił ojcę, wybuchł pożar — lub też zdarzyło się coś podobnego. Pewna pani spod znaku Ryb w parę chwil przed nadaniem w TV informacji o zamachu na Papieża, powiedziała: „Ojciec święty dużo podróżuje, boję się, by nie stało mu się coś złego...”

Twoja intuicja dotyczy przeważnie wydarzeń złych. Ale jakże bywa przydatna w pracy zawodowej! Jeśli jesteś młoda i nie zdecydowałaś jeszcze, kim chcesz być, spróbuj „przymierzyć” się do medycyny, pielęgniarstwa, psychologii, pedagogiki. Byłabyś też dobrą sędzią, prokuratorem, oficerem śledczym i adwokatem. Kobiety spod znaku Ryb są świetnymi nauczycielkami i wychowawcami. W którejś starej powieści właścicielka majątku poszukiwała guwernantki dla swoich dzieci, jako jeden z warunków stawiała właśnie ten: by osoba była spod znaku Ryb. Ta niesamowita zdolność przewidywania sprawiła, że dawniej niektóre kobiety pomawiano o czar i palono na stosie!

Miękka, zgodna, czuła. Potrafisz kochać najtęskliwiej, jak tylko można. Ukochanemu mężczyźnie oddajesz wszystko, bez rezerwy. Trudno Ci nie lubić i nie kochać. Ale ludzie dzielą się czasem: taka dobra, a nie ma szczęścia. Bo istotnie, nie jesteś w pełni szczęśliwa. Świat nie docenia takich, jak Ty. Człowiek obdarowany nie lubi pamiętać, że kiedyś znajdował się w potrzebie. Myśl, że komuś za coś powinniśmy być wdzięczni, jest kłopotliwa. Ludzie nie lubią być dłużnikami. A mężczyźni — przeciwieństwo z nich, to niewdzięcznicy!

Toteż często doznajesz rozczarowań. Oczekujesz wierności, wdzięczności, czekasz na „zapłatę” za dobro i miłość, a otrzymujesz w zamian przykrość. Nie też dziwne, że dziewczyny spod znaku Ryb wesołe, radosne i pełne nadziei, w późniejszym okresie swego życia zamieniają się w znerwicowane panie wysiadujące ławki w poczekalniach lekarskich.

Intuicja pomaga Rybom przedostawać się przez mielizny i pułapki

ki życia. Ale cechuje je przy tym ufnosć, a ta zawodzi nawet osoby niesłychanie ostrożne. Na przykład w małżeństwie. Mąż jest dla Ciebie idealnym. Kochasz go niemal mistycznie. Żyjesz tylko dla niego, w wierności i oddaniu. Ale też w kompletnym braku poczucia rzeczywistości, bo idealów nie ma! I kiedy na tym wyidealizowanym obrazie pojawiają się skazy, wpadasz w rozpacz tak bezdenna, że mogącą prowadzić do katastrofy.

Jeśli więc znajdziesz się kiedyś w takiej sytuacji, obyś nie wpadła w stan gnusności, nastroju „wszystko mi jedno”, zaniedbania i szukania ratunku na obrzeżach normalnego życia. Wśród alkoholiczek, narkomanek, lekmanek i, nie obrażaj się — kobiet tzw. lekkiego prowadzenia, jest dużo kobiet spod znaku Ryb...

Ludzie łączą się czasem ze sobą, łącząc, że czas złądzi różnice i spowoduje wzajemne porozumienie. Istotnie, tak niekiedy się staje, po latach. Ale ileż zostaje zmarnowanego bezpowrotnie czasu, nerwów, zdrowia! Przy poszukiwaniu partnera na życie, rozważ następujące aspekty. Jesteś Wodą. Jeśli zwiążesz się z Ogniem, zachodzi obawa, że go zgasisz. Ale przecież bez ognia woda nie podniesie swej temperatury i nie zamieni się w parę! Oba te żywioły w harmonijnym współdziałaniu potrafią wytwarzać idee piękne i pożyteczne! Bardzo ciekawy jest też związek Wody z Ziemią. Gdy woda za dużo, ziemia zamienia się w błoto i bagno, gdy za mało — w twardą skorupę. Ale przy harmonijnym, starannie utrzymanym stosunku Wody z Ziemią, powstaje życie! Wszystko rozkwita, oddycha i rośnie, czyż to nie wspaniały mariaż?

Stąd wniosek, abyś męza, przyjaciela i kochanka szukała wśród mężczyzn urodzonych w trygonie ognistym (Lew, Strzelec, Baran) albo ziemskim (Byk, Panna, Koziorożec). Biorąc pod uwagę pewne szczegóły dotyczące współdziałania znaków zodiaku w trygonach, najbardziej udatnym będzie Twój związek z panem spod znaku Byka lub Barana.

Mecenat planety Neptun stwarza wokół Ciebie otoczkę wpływów: są to inspiracje artystyczne i duchowe, skłonność do poświęceń, spraw materialnych dla „wyższych” racji, podatność na patos i uniesienia oraz poczucie wolności od więzów materialnych. Kobiety spod znaku Ryb nie często noszą na szyi kolie brylantowe i jeżdżą na wyspy Bahama...

Neptun, którego imię nosi Twoja planeta, to grecki bóg morza, potężny Posejdon, który czyni tyle zamieszania na morzach i oceanach. Wszak to on, jak mówi mitologia, zwoził Odyseusza i utrudniał mu powrót do domu. Sporo zamieszania było też z odkryciem planety Neptun... Działając pozytywnie, Neptun wzmacnia uzdolnienia w człowieku, i współdziałania w tworzeniu najwyższych wartości duchowych, wrażliwości i wyobraźni. Działając destrukcyjnie ujawnia nieświadomości, lekką, błędną percepcję rzeczywistości, nieśmiałość, tendencje samobójcze, chaotyczność, brak zdecydowania, inklinacje homoseksualne i słabą wolę.

Zaciekaw Ci może, że pod znakiem Ryb urodziły się znane polskie aktorki: gwiazda przedwojennych kabaretów Mira Zimińska — współzalożycielka i kierowniczka „Mazowsza”, Danuta Szaflarska — bohaterka pierwszych filmów po wojnie, Hanna Skarżanka i Anna Milewska.

Uznałaś, że nie wszystko do Ciebie pasuje? Ależ tak być może! W kosmosie panuje ruch i na Twoje „echy psychofizyczne, z którymi przysłaś na świat, Twoje zachowanie i nastroje wpływają także inne okoliczności, poza wymienionymi!

W następnym numerze „Dzieci kosmosu”: dla panów spod znaku Ryb.

EWA FOSS

Przed rokiem Wiesław Holdys, absolwent Wydziału Reżyserii Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, jako przedstawienie dyplomowe przygotował w gorzowskim teatrze „Pluskwę” Majakowskiego. Tamto przedstawienie doczekało się przychylnych recenzji w piśmie ogólnopolskich. Później Wiesław Holdys zrobił „Azy!” wg Kafki w Grudziądzu. Teraz wrócił do Gorzowa. Zaproponował niemiecki dramat Georga Büchnera napisany w I poł. XIX wieku, utwór wystawiany rzadko, ale z zasady przez najlepszych reżyserów: ostatnio Swinarskiego, Hanuszkiewicza, Bradeckiego. Holdys twierdzi, że wybiera teatry prowincjonalne przede wszystkim dlatego, bo tylko tam może dysponować całym zespołem aktorskim bez żadnych ograniczeń. Nie znosi spóźnienia a tym bardziej nieobecności, nawet usprawiedliwionych, na próbach. Nie może więc pracować w teatrach, z których aktorzy porywani są do filmu, do radia, na nagrania itd. Ani w Grudziądzu, ani w Gorzowie nie ma takich zabezpieczeń.

Holdys na scenie nie tyle prezentuje utwór sceniczny, ile tworzy własną wizję doświadczenia z napisanym utworem. Podobnie jest z „Woyzeckiem”. Choć w zasadzie tekst nie został okrojony, jednak otrzymaliśmy bardziej wiarygodny na motywach dramatu niż wiernej prezentacji utworu. Reżyser bardzo rozbudował funkcję niektórych postaci nadając im znaczenie symbolów. Ten nierzeczywisty świat wjeżdża kuglarzskim wozem, by poprzez Formę pokazać pustkę, jałowość, szampę, by wyrazić, że wszystkie ludzkie odruchy i uczucia muszą rozbić się o blichtr i pozory. Wieloosobowe, rozbudowane kompozycje sceniczne najbardziej zapadają w pamięć widza. Dominuje w nich sztuca gesty, szampowy uśmiech, dźwięk zamiast słowa. W tym przedstawieniu warstwa dźwiękowa pełni bardzo ważną funkcję. Składa się na nią muzyka Barbary Zawadzkiej wykonywana przez zespół kierowany przez Lecha Serpina na scenie oraz melodia ludzkiego głosu bardzo starannie przez reżysera przemysłana i przez aktorów wypracowana.

Wiesław Holdys i współpracujący z nim reżyser Janusz Tartyło mają pretekst do monstrualnych, ciężkich scenografii. W „Pluskwie” był tramwaj, tu jest wóz kuglarzy (?). Na scenie mamy mnóstwo przedmiotów, wśród których aktorom niełatwo się poruszać. Sądzę, że nadanie scenografii większej lekkości pomogłoby inscenizacji.

ODPOWIEDZI LITERACKIE

Bogusław S. Zagań. Z opóźnieniem dziękuję za list, w którym opowiedział pan o niezwykłym wydarzeniu, jakie spotkało pana. Istotnie, można je zaliczyć do zjawisk parapsychologii. I jest to też materiał, z którego można by zbudować interesujące opowiadanie literackie. Ale to wymagałoby wysiłku i wysokiego kunsztu artystycznego. Treść jest dość fascynująca, teraz trzeba znaleźć umiejętny przekaz literacki. Życzę powodzenia.

Renata Z. Sulechów. Jak wynika z korespondencji, jest pani młodą kobietą, która postanowiła w swoich wierszach wyrazić refleksje nad czasem, przemianami. A także — bardzo osobiste uczucia i rozczarowania. To są zamysły ambitne, choć bardzo jeszcze artystycznie nieudolne. Swoje spostrzeżenia ujmuje pani w formy zwykłych opowieści, pozbawionych zarówno bogactwa i nieuzupełnionego słownictwa, jak też oryginalnych metafor, przenośni,

Nowe „Integracje”

Po dłuższej przerwie pojawiły się w kioskach „Ruchu”, znane już szerokiemu kręgowi odbiorców czasopiśmiennictwa literackiego, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, „Integracje”. Oczywiście szkoda, że to bardzo starannie redagowane pismo ukazuje się na rynku bardzo nieregularnie. A to dlatego, że Redakcja Wydawnictw Młodego Ruchu Artystycznego nieustannie boryka się z umieszczeniem poszczególnych numerów pisma na stałe w jednej drukarni. Nie tylko dlatego, że drukarnie zapchane są zamówieniami do granic możliwości, ale i dlatego, że druk „Integracji” wymaga wielkiej precyzji i kunsztu. Dziś już widać, że sprawy nieustająco się powtarzają. Największym zysku przy jak najmniejszych nakładach własnej pracy. Każde wydanie, wychodzących już od dziesięciu lat „Integracji”, cechuje bardzo oryginalna oprawa graficzna i plastyczna (w tym również kolorowe wkładki), co potwierdza się i w obecnym XXII numerze, drukowanym w Zielonogórskich — Zakładach Graficznych. Fakt, że został zrobiony na wysokim poziomie bardzo pozytywnie świadczy



NA MOTYWACH „WOYZECKA”

Niestety, najcięższym grzechem przedstawienia jest aktorska słabość dwójki głównych bohaterów dramatu — Woyzecka — Dariusza Skibińskiego i Marii — Danuty Malinowskiej. Nie są oni kontrapunktami dla świata Formy. Ich miejsce jako najważniejszych osób w przedstawieniu zajęli: Elżbieta Donimirska (Naganiacz), Dorota Wierzbicka (Ma-



Doktor — Krzysztof Malinowski, Studentka — Bożena Pomykała i Woyzeck — Dariusz Skibiński

Fot.: JERZY SZALBIERZ

porównań. To po pierwsze. Po drugie — pani przemyslenia są nabytymi powierzchownymi i często naiwnymi, nie wnioskującymi z niczego nowego z ogólną wiedzą o ludzkim losie. I po trzecie — przeraża mnie pobrzmiewający ton smutku, wątpliwości, rozpacz. Jak przecieć może dwudziestolatnia dziewczyna tak oto lamentować: „Starzeję się, choć mam dopiero 13 lat! gram z życiem już na pass / Dość już mam kłopotów, trochę codziennych zwykłych spraw / radości cienkich jak pajęczyna / nie chcę tak żyć, tak daleko nie chcę żyć...”. I oto, ażeby zważyć na swoje wątpliwości, rozpraszać smutek, eliminować cierpienie, pani niespodziewanie kończy swoje wyznania: „Umieram, idę sama w lepszy świat”. Proszę pani! Gdybyśmy tak wszyscy chcieli myśleć i postępować — każdy z nas miałby pretekst, aby opuścić tę szarą codzienność, ze złochem beznadziej. Gdy się jest w tak młodym wieku, to życie otwiera się dopiero... Wierzę, kończąc, życząc więcej optymizmu i po lećmy lekturę naszych wybitnych poetów, którzy i ze smutku potrafili wykręcać mądre iskierki sensu naszego życia. Serdecznie pozdrawiam!

Jerzy B. Zielona Góra. Fragmenty pańskiej prozy, będącej jakby zapisem stanu świadomości narratora i jego mrocznych myśli majaczej, mają charakter mocno nieuporządkowany, epatujący ułudami, popadającymi najczęściej po prostu w belkot. Ni to realizm, ni to surrealizm, ni to dadaizm... A o wszystkim można było przecież

gorzka Katarzyna i Krzysztof Malinowski (Doktor).

Wiesław Holdys dał gorzowskiej publiczności przedstawienie, które inspirowało do dyskusji, nawet do pokłócenia się z reżyserem. Ale jeśli w „Woyzecku” nie wszystko godne jest natychmiastowego zaakceptowania, to nie ulega kwestii, że mamy do czynienia z przedstawieniem ciekawym.

Na premierze było dużo wolnych miejsc. Tytuł nie przyciągnął widzów. Na kolejne przedstawienia przyprowadzano dzieci ze szkoły podstawowej, choć to sztuka zupełnie nie dla nich. Woyzeck też był żołnierzem, a jedną z głównych przyczyn jego rozterek było to, że musiał nosić mundur. Sceniczne mundury są bardzo podobne do współczesnych polskich... Jednak ciągle nie traci sensu pytanie: na ile przedstawienie wystarczy świadomej publiczności?

KRYSTYNA KAMIŃSKA

ładnie opowiedzieć w prostych, przejrzystych zdaniach, dbając zarazem o kompozycję tekstu. Pierwsze opowiadania, co potwierdziła cała historia literatury pięknej, zaczyna się od umiejętności realistycznej kreacji rzeczywistości i jasnego przedstawienia wizerunku głównego bohatera, którym może być także narrator. A tak, napisał pan kilka stroniek pretensjonalnie brzmiących zdań, z których nie wynika.

Tytus K.R. Zabrze. Pańskie liryki, a wśród nich i erotyki, wzbudzają uznanie dla swej lapidarności i szczerości wyznań. Niestety, nie udało pan uniknąć i banalności, i sentymentalizowania. W „Zamiennych butach” wyraża pan, jak wielu młodych ludzi swoje wątpliwości w sens naszej codziennej egzystencji: „Przekleć bóg / życie szalone / kłamstwo / nikt nie ma / pragnie być butem / nie parą / Zmiennym buciorem / do zabijania / niepowstania...”. Zapewniam pana, że w miarę dojrzenia i głębszego poznawania życia, nie będzie już pan patetycznie wołał: „trzeba zabić”. Wśród nadesłanych utworów najbardziej spodobał mi się wiersz pt. „Sen”, który zaczyna: „W twoim ogrodzie / nie rośnie nic / żaden kwiat ani źdźbło / Za to rozpała się / twarz / Jezioro w naszych górach / sztuczna woda / brutalne otaczaki / Gdzieś dom / z kart / naszego pamiętnika”. Myślę, że ten tekst zbliża pana do autentycznej poezji. Ale czeka jeszcze pana daleka droga Życze wytrwałości!

Różański, a Jan Sochoń w eseju „Jaskinia i gra” (jest to moim zdaniem najważniejszy tekst w tym numerze) snuje rozważania, zabarwione niezwykle cenną osobistą żartowatością, o poezji w kategoriach tejska, sumienia i nadziei. Myślę, że tekst ten winien każdy młody poeta, a chyba nie tylko on, obowiązkowo przeczytać. Autor podejmuje, ulegając chaotyzacji, problematykę wartości poezji, którą odnosi do szerokiego kontekstu — Biblii, polityki, egzystencji, transcendencji, konieczności zbudowania nowego języka. Podobny w wymiarze refleksji jest esej Piotra Michałowskiego i liryce Andrzeja Bursy pt. „Poetyka braku i puste przestrzenie w twórczości poetyckiej Andrzeja Bursy”. Zaś Wiesław Krzysztozek drukuje głęboko analityczny tekst „Aura niepojętości”, rozważający „wyrażenie przez Wazęka bezpośrednie przeświadczenie na temat niepojętości i nieciągłości świata oraz form egzystencji”. Zaś Stanisław Stabro pisze o „Rozkoszach myzoginizmu Marka Hłaski”. W „Archiwum” znajdujemy listy Kazimierza Iłakowiczówny do Jana Wojtyły, opracowane przez Eugeniusza Kurawę. Wiersze swoje drukują: Wojciech Kawiński, Beata Ananiewicz-Smidt z Gorzowa Wlkp., Wincenty Różański, Janusz Leppek, Bogusław Stawomir Kunda i inni. Pozostaje mi tylko zachęcić do lektury „Integracji”.

CZESŁAW SOBKOWIAK

WIDEOKLUB

CZAS MIŁOŚCI

Pani około 40-ki patrzy na kolegę swej 14-letniej córki: „Ten mały za dużo pije...” Wymiana spojrzeń, uśmiech, rozmowa. Nieoczekiwanie do tych dwojga przychodzi miłość.

Dojrzała kobieta i nastolatek. Temat nie nowy. W RFN grany jest aktualnie w kinach film amerykański osnuty na prawdziwym zdarzeniu: miłości chłopca do matki. Przed laty we Francji wybuchł skandal, gdy na ekrany kin wszedł film o związku ucznia z nauczycielką (rolę tę grała, jeśli dobrze pamiętam, Annie Girardot). A znakomity Dustin Hoffman w roli świeżo upieczono maturzysty, wciągniętego do łóżka przez matkę kolegi w filmie „Absolwent”?

Tym razem historię niezwyklej miłości odzwierciedla „Jane” Birkin i Mathieu Demy. Film ogląda się z niepokojem. Czym właściwie jest ta miłość, która oświadcza dwoje, tak nie pasujących do siebie partnerów? Dla kobiety sprawą poważną, na granicy katastrofy. Dla swięta wielkim skandalem. Dla 14-letniego chłopca uczuciem szalenie podniecającym, dającym się porównać jedynie z grą na komputerze.

Jane Birkin i jej młody partner poruszają się to w rzeczywistości, to we wzajemnej wyobraźni, kierowani ręką... Tak, oczywiście! Ręką kobiety! Daje się to odczuć od początku, tak przynajmniej sądzi widzowie. Mówią też, że ów niepokój podczas oglądania bierze się nie tyle z tematu i przebiegu akcji, co ze sposobu inscenizacji.

Film reżyserowała Agnès Varda. Tytuł w oryginale brzmi: „Kung Fu Master”. Na kasiecie z dubbingiem w języku niemieckim tytuł zmieniono na „Die Zeit mit Julien” — „Czas z Julianem”.

W SERCA ZAKAMARKACH

Rok 1919, austriackie Alpy. Do sanatorium dla chorych na płuca przyjeżdża pod opieką matki 12-letni Edmund. Chłopczyk cierpi na astmę. W malowniczej scenerii i nastroju jak w bajce, matka i syn ulegają urokowi tajemniczego barona von Hauenschilda. Baron znudzony jest hotelowym życiem. Chętnie zajmuje się chłopcem i szybko do-

bywa jego serce. Mały Edmund zapada na chorobę. Jest szczęśliwy.

Przychodzi jednak chwila strasna. Chłopiec pojmuję, że był zabawką i pretekstem, bowiem baron chciał w ten sposób pozyskać względy matki. Chciał — i pozyskał. Między matką Edmunda i baronem dochodzi do zbliżenia. Równocześnie Edmund po raz pierwszy w swym krótkim jeszcze życiu podejmuje męską decyzję...

Piękny film. Wspaniała gra aktorów. W roli matki Fay Dunaway (wzrostłaś ją m.in. w filmach „Chłaska dzieła” i „Płonący wieżowiec”), a w roli barona Klaus Maria Brandauer, (pamiętam go z głównej roli w filmie „Melisto” oraz z postaci Nerona w serialu emitowanym nie tak dawno w polskiej telewizji).

Ślawnej parze aktorów dorównuje 12-letni David Eberts w roli Edmunda. Młody aktor gra z dużą siłą wyrazu, to też został dostrzeżony przez jurorów na 45 Biennale Filmowym w Wenecji i uhonorowany wyróżnieniem. Z pewnością jeszcze o nim usłyszymy.

Film nosi tytuł „Brennendes Geheimnis”, co znaczy „Paląca tajemnica” i został nakręcony według powieści Stefana Zweiga. Jest dziełem reżysera Andrew Birkin’a, brata wspomnianej wyżej aktorki Jane Birkin.

ZABIĆ KSIĘDZA

Parę słów o filmie, który zdążył już przywędrować do Polski i wyświetlany jest: podobno w kościołach, ale z pewnościami trafi również do świeckich wideo-klubów: to dzieło z życia i śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Reżyserem filmu jest Agnieszka Holland, Polka mieszkająca od 1981 r. w Paryżu. W prasie zachodniemieckiej znalazłam króciutką jej wypowiedź: „Przedstawiłam historię fikcyjną, do której załapałam rowała mnie rzeczywistość”.

Rzecz dzieje się w Polsce. Wydarzenia w dramatycznych latach 80-tych, udział kościoła katolickiego, sytuacja związku „Solidarność”, wszystko tu ukazane zostało ponoć z siłą i napięciem. „Z takiego materiału mógł powstać polityczny kicz. Ale Holland po mistrzowsku zdołała ominąć pułapkę patosu”. — pisze zachodniemiecka prasa.

W filmie nie pada nazwisko Popiełuszki. Ksiądz — działacz robotniczy, to „Pater Alek” — Ojciec Aleksy. Zostaje napadnięty i zamordowany, a mordercą okazuje się funkcjonariusz tajnej milicji.

Film spotkał się z zainteresowaniem na Zachodzie. Pisano o nim już w trakcie realizacji. Poza wszystkim nieważ-

nywa jego serce. Mały Edmund zapada na chorobę. Jest szczęśliwy.

Przychodzi jednak chwila strasna. Chłopiec pojmuję, że był zabawką i pretekstem, bowiem baron chciał w ten sposób pozyskać względy matki. Chciał — i pozyskał. Między matką Edmunda i baronem dochodzi do zbliżenia. Równocześnie Edmund po raz pierwszy w swym krótkim jeszcze życiu podejmuje męską decyzję...

Piękny film. Wspaniała gra aktorów. W roli matki Fay Dunaway (wzrostłaś ją m.in. w filmach „Chłaska dzieła” i „Płonący wieżowiec”), a w roli barona Klaus Maria Brandauer, (pamiętam go z głównej roli w filmie „Melisto” oraz z postaci Nerona w serialu emitowanym nie tak dawno w polskiej telewizji).

Ślawnej parze aktorów dorównuje 12-letni David Eberts w roli Edmunda. Młody aktor gra z dużą siłą wyrazu, to też został dostrzeżony przez jurorów na 45 Biennale Filmowym w Wenecji i uhonorowany wyróżnieniem. Z pewnością jeszcze o nim usłyszymy.

Film nosi tytuł „Brennendes Geheimnis”, co znaczy „Paląca tajemnica” i został nakręcony według powieści Stefana Zweiga. Jest dziełem reżysera Andrew Birkin’a, brata wspomnianej wyżej aktorki Jane Birkin.

JACKSON SUPERSTAR

Na koniec zmiana nastroju: Michael Jackson i jego „Moonwalker” czyli „Księżycowy spacer” albo „Spacer po księżycu” — dzieło spółki reżyserskiej Jerry’ego Kramera i Colina Chilvers. Krąży kopia z bardzo kiepskim nagraniem, z którego jednak można się zorientować, jaki to film. Otóż jest to mieszanka koncertu z gigantycznym videofilmem i gatunkiem science fiction. Jackson jest tańczącym i śpiewającym superbohaterem, który dzięki koligacjom z magicznymi siłami ratuje świat przed diabelskim Mr. Big’iem. Oszałamiająca scenografia! Nie bywała akustyka! Przy kręceniu tylko jednego songu — pt. „Smooth Criminal” zastosowano dwieście specjalnych efektów wizualnych i akustycznych, co jest swym rekordem.

Sam Michael też jest rekordowy, nadzwyczajny i niepowtarzalny, co, jak się wydaje, film umiejętnie ukazuje. Na uwagę zasługują m.in. udział w „Moonwalker” Seana Lennona, 13-letniego syna „Beatles” Johna Lennona i Japonki Yoko Ono, który, podobnie jak jego starszy przyrodni brat, odziedziczył po tatulusi zdolności muzyczne, a nadto umie się poruszać.

Mimo wszystko film ogląda się z lekkim rozczarowaniem. Nie mówi nic o ciekawej przeszłości Michaela do światowej kariery, o jego niezwyklej rodzinie i o czasach, gdy on sam śpiewał i tańczył w rodzinnych „Jackson Five”. Jest po prostu bajką. Życie prywatne supergwiazdora rocka nadal zasłania gęsta kurtyna. Pozostaje więc tym bardziej polecić P.T. Czytelnikom fragmenty książki Michaela Jacksona które drukujemy w „Nadodrze”. Choć podobno nie wszystko w książce jest prawdą, jak choćby zapewnienia Michaela, że poddał się tylko dwóm małym korektom twarzy. Jego siostra La Toya mówi wprost, że jej sławny brat takich zabiegów miał aż dwanaście...

EWA

camera filatelistica

Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu wydało monumentalne dzieło „Pocztą Królestwa Polskiego 1815-1851” opracowane przez Mieczysława Czernikę, znakomitego historyka i wybitnego filateliste.

Autor w czterech rozdziałach omawia stosunki pocztowe z władzami Królestwa Polskiego oraz z pocztami państw sąsiednich, organizację wewnętrzną przedsiębiorstwa pocztowego, rodzaje usług pocztowych i także czynności urzędowe i dokumentację pocztową. Aneksami są: wykaz placówek pocztowych, traktaty pocztowe i taryfy opłat listowych oraz pasażerskich. We wstępie zapoznaje czytelnika z periodyzacją dziejów pocztu polskiej XIX w. Po III rozdziale w 1795 r. pocztą polską przestała istnieć. Działalność pocztu państw zaborczych. Reaktywowano ją po utworzeniu Królestwa Warszawskiego (1807) i funkcjonowała ona do czasu istnienia tego Królestwa. Następny okres — ten właśnie jest przedmiotem badawczych dociekań M. Czernika — rozpoczyna się w 1815 r., a więc po utworzeniu Królestwa Polskiego. Po upadku powstania listopadowego wprowadzenie rosyjskich jednostek miar i wagi oraz pieniądza przyspieszyło zmiany na pocztę, ale jej samodzielność była ciągle jeszcze utrzymywana. W 1851 r. nakazem cesarza została zniesiona Dyrekcja Poczty Królestwa Polskiego, a na jej miejsce utworzono Okręg Poczty XIII bezpośrednio podporządkowany Petersburgowi. Sytuacja ta trwała do 1858 r., kiedy ponownie oddano Okręg Poczty XIII pod władzę namiestnika i Rady Administracyjnej Królestwa. Trwało to zaledwie 8 lat. Jak wiemy w tym czasie wydano pierwszy polski znaczek pocztowy. W 1866 r. utworzono na miejsce pocztu polskiej Zachodni Okręg Poczty pocztu rosyjskiej. Od tej daty, aż do zakończenia I wojny światowej pocztą polską nie istniała. Praca ta może służyć jako podręcznik wiedzy pocztowej i jest niezbędnym opracowaniem dla wszystkich filatelistów, którzy zbierają XIX-wieczne dokumenty pocztowe.

Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu, wielce zasłużona instytucja, również jako wydawnictwo wprowadziło ciekawą formę sprzedaży tej książki. Do każdego egzemplarza, który kosztuje 3,90 zł dodawany jest arkusik wydany w 1866 r. z okazji Światowego Dnia Poczty o nominalnej 120 zł. Arkusik ten w sprzedaży handlowej w sklepach Przedsiębiorstwa Filatelistycznego RSW „Prasa — Książka — Ruch” wyceniony jest na 2,500 zł, a na zebraniach wymiennych uzyskuje cenę 4,000 zł. Myślę, że jest to niezła forma promocji literatury filatelistycznej i winna być częściej stosowana przy tego typu monumentalnych wydawnictwach.

M. ŚLAWOMIR



Pocztę Francji i Szwajcarii wydały znaczek pocztowy o jednakowym rysunku przedstawiającym obraz „Meia” szwajcarskiego artysty malarza Jeana Tinguely. Nominalna wartość wydania francuskiego wynosi 5 franków, a szwajcarskiego 0,90 fr. W dniu 23.11.88 urzędy pocztowe w Paryżu i Bazylei stosowały identyczne stemple pierwszego dnia obiegu.

Rozrywki umysłowe

9	25	48	20	7	
MIASTO WOJEWÓDZKIE	44	OJCIEC HORUSA	49	POJAZD HELIOSH	46
18	28	53	4		36
27	TECZKA NA MAPY	12	SUCHE DRZEWA W LESIE	32	BÓSTWO LUB PLANETA
42	1	15	41	8	
10	J.W. DZUGASZWIŁI		ALIANS, ZWIĄZEK		FANATYK, ZAPALENIEC
24		40	14		
5	RYWAL DAWIDA	51	PAŃSTWO W AMERYCE PŁD.	39	PRZYPIECZEK
26		49	29		
35	PIERWISTEK CHEM.		WŁOSKIE MIASTO W ALPACH	37	ROZPUSZCZALNIK
50		52		3	45
17	BALET CHACZATURIANA		AMERYK. STATEK KOSMICZNY		PRZYDOMEK, WYZWISKO
33		21	41		
				6	47
					22

Oprac. Zbigniew Kasperski
Zielonogórski Klub Szaradzystów „Labrys”
Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny. Litery z pół ponumerowane.

KUPON
ROZRYWKI UMYSŁOWE
nr 4

nach od 1 do 53 utworzą rozwiązanie — tekst fraszki oraz imię i nazwisko jej autora. Prosimy je nadsyłać do 4 marca br. na adres naszej redakcji (z naklejonym na kopercie kuponem). Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE WIRÓWKI Z NR 2
„Polskie porzekadło — jaka matka, taka natka”. Nagrody książkowe wylosowały: Józefina Lipka z Zar oraz Ewa Orłowska z Pniew w woj. bydgoskim. Gratulujemy.

Muzykolandia

* Misza Muromow, piosenkarz radziecki, którego pamiętamy z występów na XXIV Festiwalu Piosenki Radzieckiej w czerwcu ub. r., w błyskawicznym wywiadzie udzielonym polskiej telewizji powiedział, że właśnie wyjeżdża na koncerty do Berlina Zachodniego, na stopnie wybiera się do Los Angeles w związku z propozycją nagrania tam dwóch piosenek, a na pytanie, czy zamierza konkurować z Michaeliem Jacksonem odparł, iż... nie planuje zmiany nosa, chce zachować własną skórę, zęby itd.

* Nena, do niedawna będąca w czołówce rocka (mieszkanka Berlina Zach. nie ma wykształcenia, próbowała zawodów złotnika, piastunki i kelnerki, aż niespodzianie zrobiła błyskawiczną karierę piosenką pt. „99 balonów”) i zarabiająca 3 mln marek rocznie, od około 2 lat przeżywa kryzys, spowodowany rozstaniem z aktorem Benny’em Kreftem, ciężkim porodem z komplikacjami i długotrwałą rekonwalescencją, wreszcie śmiercią nowo urodzonego dziecka — a tymczasem w sklepach muzycznych już mało kto interesuje się ostatnim singlem Neny pt. „Nocny anioł”, takie jest życie.

* „Jezus Christ Superstar”, polskie przedstawienie słynnej opery rockowej A.L. Webera i T. Rice’a w przekładzie W. Młynarskiego, reżyserii J. Gruzdy, przygotowane przez Teatr Muzyczny w Gdyni z solistą zespołu „TSA” Markiem Piekarczykiem w roli tytułowej, zostało pokazane gościnnie w Warszawie (wcześniej w Nowym Jorku i Wilnie), a dyr. Gruzda zapowiedział przy tej okazji następną sensacyjną premierę: będzie to rock-opera pt. „Les Misérables” czyli „Nędzniczy” według Victora Hugo, ponad to również dwa spektakle muzyczne, je den złożony z piosenek lwowskich, drugi z przebojów legendarnej Edith Piaf.

* Madonna, zajmująca 9 miejsce na amerykańskiej liście najlepiej zarabiających ludzi show-biznesu (wysokość rocznych dochodów: 46 mln dolarów, o 51 mln mniej niż znajdujący się na miejscu 1 Michael Jackson), nie dementując informacji o podjęciu roli Marii Callas w filmie biograficznym poświęconym tej wielkiej śpiewaczce, podała do wiadomości, że przyjęła nową propozycję filmo-



Piosenkarz czeskosłowacki Josef Laufer (fot. Archiwum)

wą: tym razem wcieli się w postać Grety Garbo w filmie (ponoć nadzwyczaj kosztownym) osnutym na tle życia i kariery „boskiej” Greta.

* Marek Niedźwiecki, specjalista od list przebojów (dawniej w Programie III PR, obecnie w TV), jeden z niewielu w Polsce szczęśliwców, którzy widzieli na żywo koncerty kilku światowych gwiazd, jak Jackson czy David Bowie, b. sty-pendysta Amerykańskiej Agencji Informacyjnej, zwierzył się Hannie Galskiej na łamach „TIM”, że fascynuje go Da-leki Wschód, lubi jesień i dobrą herbatę, a podoba mu się pewna blondynka mieszkająca w Holandii i będąca, niestety, kochającą żoną innego pana.

* Terence Trent D’Arby, czarnoskóry b. interesujący piosenkarz, przygotowujący obecnie w Dublinie swój drugi album solowy, znajdzie się obok Bryana Adamsa, Sade Adu, Pete-ra Gabriela, Stinga, zespołów „U2” i „Talking Heads” oraz innych wykonawców, na longplaju pt. „Greenepeace Bre-akthrough”, zapowiedzianym na kwiecień br. w 5 mln egzemplarzy przez radziecką wytwórnię „Melodia”, przy-czym identyczna płyta ukaże się równo-cześnie na Zachodzie, a dochód przezn-

czony zostanie wspólnie na działalność pokojową „Greenpeace”.

* Jerzy Milian, dyrygent, muzyk i kompozytor, w latach 60-tych uznawany za najlepszego wibrafonistę w Europie, członek legendarnego już dziś sektetu Krzysztofa Komedy, posiadający jako jedyny w Polsce kompozytor własną płytę compactową (nagrana na Zachodzie) z własnymi utworami, znany dobrze w Zielonej Górze z Festiwalu Piosenki Radzieckiej, obchodził w styczniu br. wraz ze swą Orkiestrą PR i TV w Katowicach 15-lecie pracy radiowej.

* Charles Aznavour, światowej sławy piosenkarz, z pochodzenia Ormianin, założył stowarzyszenie zajmujące się organizowaniem pomocy dla nawle-dzonej trzęsieniem ziemi Armenii oraz po 20 latach nieobecności odwiedził ro-dzinny kraj swoich przodków, a tymcza-sem w programie polskiej TV „Bliżej świata” w niedzielę 5 lutego br. usłysze-limy nową piosenkę Aznavoura pt. „Pour toi Armenie” czyli „Dla ciebie Armenio” i w wykonaniu chóru, w któ-rym dali się rozpoznać m.in. Mirelle Mathieu, Gilbert Bécoud, Michael Pol-nareff, Nana Moscouiri, Johny Hollyday i inni.

* Obywatel G.C. czyli Grzegorz Cie-chowski uważany aktualnie za najpo-pularniejszego polskiego wokalistę roc-ka (jak powiedziano w TV: „dopóki nie objawi się rywal z lepszą dykcją”), prze-bywał na Targach Muzycznych w Can-nes — z rezultatem na razie niewiadomym, tymczasem zaś w jednym z nu-merów „MM” znaleźliśmy recenzję z je-go koncertów, oto fragment: „Niewątpli-wą przyjemność oglądania i słuchania Obywatela G.C. psują „popisy” Maigo-rzaty Potockiej. Jej śpiew można je-szcze znieść, ale na Boga — niech przynajmniej nie rusza się na scenie!!! Śmieszność nie jest dobrym dodatkiem do poważnego image’u Obywatela G.C. i formuły jego występu”.

* „Quinn”, zespół z wokalistą Fred-dym Mercury (ostatnio partnerem śpie-wackim Monserat Caballe i kompozyto-rem rewelacyjnej „Barcelona”) — o-czym już pisałam, został laureatem pierwszego miejsca w ogłoszonej wśród brytyjskich studentów ankiecie — za utwór pt. „Bohemian Rhapsody”, uzna-ny najlepszym singlem ostatnich cza-sów, podczas, gdy najlepszym long-play’em ogłoszono „The Wall” zespołu „Pink Floyd”.

ATA

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pis-mo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stal-nogradu 13 i piętro oraz dla korespondencji: 65-858 Zie-lona Góra 8 skrytka pocztowa 40 Telefon: redaktor naczelny 710-33 2-4 (cał. red. naczelnej) 39-13 oraz: centra-la 46-61 do 67 (cał. red. telef. wewnętrzne) Telex 0432253. REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Ańska-Skar-bek, Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukasz-ewicz (2-ca red. naczelnej), Wiesław Nodzyński, Ry-

szażard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.). Koreskta: Maria Fiedorowicz. Sekretariat Re-dakcji: Elżbieta Waleńska. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe. al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra, skrytka poczt. 31. Centrala telefoniczna: 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-95. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja

5. OGŁOSZENIA przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszy-skie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpo-wiada. Materiałów (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie-zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie pra-wo skrótów i zmian tytułów.

nr 20

Skoro premier Rakowski podjął decyzję o likwidacji gdańskiej stoczni, my nie powinniśmy być gorsi. I oto w roli likwidatora Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze wystąpił redaktor Alfred Slatecki w publikacji zatytułowanej „Chwila przed snem” ogłoszonej w magazynie „Gazety Lubuskiej” z dn. 4-5 lutego br. Autor obwieścił, że Towarzystwo wkrótce zapadnie w całkowity letarg, wobec tego — i słusznie — nie ma co zajmować się jego reanimacją, lecz „podziękować komu należy i dokumenty przekazać do archiwum”.

Rozumowanie autora jest logiczne, egzemplifikowane odpowiednio dobranymi przykładami, wyselekcjonowanymi pod kątem uzasadnienia tezy o upadłości LTK. Nie jest to wszakże pierwsze wystąpienie tego typu, gdyż od początku działalności Lubuskiego Towarzystwa Kultury i sferowanych w nim podobnych towarzystw, czytalem i słyszałem wiele krytycznych wypowiedzi, choć żadna z nich — poza głosem redaktora Jerzego Nogicia — nie miała tak arbitralnych żądań. Owszem, w zależności od czasów jakie przeżywalismy, domagano się różnych zmian w profilu działalności LTK, modyfikacji jego programów i poszerzenia bazy społecznego wsparcia. Działacze Towarzystwa, których naturalnie w dawnych latach było więcej, czynili wtedy wszystko, aby spełniać postulaty społeczne, właściwie wypełniać założone od początku funkcje mecenasa animującego społeczno-kulturalny ruch na Ziemi Lubuskiej oraz w miarę możliwości sprawować pieczę nad powstającymi wówczas środowiskami twórczymi. Nie neguję tego zresztą redaktor Alfred Slatecki, gdy pisze m.in.: „Ruch regionalny był potrzebny jeszcze wtedy, kiedy na jego konto można było zaliczyć sprawy nie do zaliczenia oficjalnie. Wydawać pieniądze omijając paragrafy, szczeni się społecznikami. Zbierać zasiłki i odznaczania”. Zapełniał chodzący o okres, kiedy to autor „Chwili przed snem” pełnił funkcje dyrektora „Wydawnictwa Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Ale wówczas nie do megalomanii na likwidacji LTK.

Nie domagał się on tej likwidacji również w czasie, gdy jako redaktor „Nadodrze” pisma skumotzonego z LTK, pisywał o różnych osiągnięciach ruchu społeczno-kulturalnego. Milczał na ten temat przez ponad dziesięć lat, będąc członkiem Prezydium LTK

i przewodniczącym jego sekcji wydawniczej. Te funkcje pełnił zresztą do dzisiaj.

Powtarzanie w ślad za redaktorem Slateckim oczywistych konstatacji o kryzysie tego ruchu byłoby banalne. Taka sytuacja jest zresztą w całej Polsce. Ale też w całej Polsce — w procesie wieloletniego sprzątania naszych nonsensów — nie wszystko zamierza się likwidować. I nie wszystko, co dzieje się w zielonogórskim ruchu społeczno-kulturalnym wskazuje na ostre symptomy nieodwracalnego letargu. Tak, jak wolno zmieniać się wiele dziedzin naszego życia, tak z wolna wzmacnia się też aktywność społeczna i na polu kultury. Autor wolał przemilczeć wiele drobnych lecz jakże istotnych kulturowych przykładów nowych inicjatyw. „Towarzystwa są, a roboty w nich nie ma — stwierdza redaktor Slatecki. — W ubiegłym roku powstało Brodzkie Towarzystwo Kultury, w maju zorganizowało imprezę, przy pomocy społecznych i administracyjnych mecenasów urządziło plener malarski, kilka spotkań, i na tym koniec”. No, nie zupełnie.

Chociaż autor, pomijając zapewne swoich doświadczeń z pracy w Urzędzie Wojewódzkim, zapewnia, że „ze statystyk najczęściej nie wynika, gdyż robione są one w określonym celu”, warto przypomnieć, co się m.in. wydarzyło w tym krótkim okresie w niewielkiej gminie Brody: 13 marca 87 r. odbyło się zebranie założycielskie Brodzkiego Towarzystwa Kultury, już 20 marca w miejscowej Bibliotece urządzono wystawę rzeźby amatorskiej Stanisława Rybickiego, a pięć dni później na spotkaniu autorskim goszono prozaike Alfreda Slateckiego. Później było wiele innych imprez przy tym samym zainteresowaniu społeczeństwa, odbył się 1 Sejmik, pod którego przewodnictwem Barbara Fijałkowska z Urzędu Wojewódzkiego wręczyła nagrodę Bogusławowi Smigielskiemu, wiceprezesa BTK, za ochronę zabudów. Tutaj także w maju ub. roku wspólnie z LTK urządzono wojewódzka inaugurację Dni Kultury oraz sesję popularno-naukową na temat: „Brody — przeszłość i teraźniejszość”. Później w gminie przebywali pisarze radzieccy, prezes BTK Stanisław Turkowski otrzymał Lubuska Nagrodę Kulturalną, a także — w poszukiwaniu środków finansowych na działalność kulturalną — urządzono dwie zabawy, z których dochód w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych przeznaczono na fun-

dasz gminny. Może warto jeszcze dodać, że w Bieczu odbył się plener artystów-amatorów a z recitalem wystąpiła sama Dorota Śluga. Czy to mało? Oczywiście. Przecież w Brodach, gdzie po raz drugi we wrześniu gościł Alfred Slatecki i podpisywał swoje książki, zabrakło Gabriela Garcii Marqueza, Jewtuszenki i Zukrowskiego. To poważne przeoczenie!

Skoro dotknęłam już spraw związanych z twórcami i ruchem wydawniczym, to warto w tym miejscu przytoczyć, że całkowicie zgadzam się z autorem, iż wszystkie publikacje firmowane przez LTK mogłyby się ukazywać w każdym innym krajowym i zagranicznym wydawnictwie. Dotyczy to również broszur i książek sygnowanych nazwiskiem Alfreda Slateckiego. Jako szef sekcji wydawniczej LTK umiejętnie potrafił wykorzystać swoje prerogatywy. Występując zarówno jako autor własnych publikacji, redaktor i recenzent opiniujący teksty innych autorów. Wydał więc w LTK takie publikacje, jak „Pisarze Lubuscy” (1981), „Przeskoczyłem siebie” (1985), „Literaci środkowego Nadodrza” (1986) oraz tomik opowiadań „Przekłute wykopki” (1987), którym doprowadził do katastrofy finansowej wydawnictwa. Zaimował się redagowaniem „Kalendarzy zielonogórskich”, zbioru wspomnień „Mój dom nad Odrą”, cegły wydawniczej „Przemiany i perspektywy” oraz opowieści „Na peryferiach historii” Jerzego Piotra Majchrzaka — jedynej publikacji, która zyskała sukces czytelnicy. Nic, tylko pozazdrościć wszechstronności, kompetencji!

A teraz wybija godzina zgromadzenia Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Ktoś złośliwy powiedział: — Skończyły się możliwości wydawnicze LTK, więc Alfred Slatecki zupełnie słusznie — pozwalając się na anonimowe głosy członków Rady — uderzył w duży dzwon. Przypomnę, że ja bym też tak postąpił, gdyby mi nagle wyszło źródło dochodu.

Po doprowadzeniu do upadłości Lubuskiego Towarzystwa Kultury, nadejdzie czas na likwidację świeżo powstałego Stowarzyszenia Animatorów Kultury, a później — na rychłe zamknięcie takich deficytowych i mało komu potrzebnych instytucji kulturalnych jak Filharmonia, Teatr i domy kultury. Jestem optymistą: tematów do publicystyki kulturalnej Alfredowi Slateckiemu z pewnością nie zabraknie.

ZENON LUKASZEWICZ



Rys. LESZEK HERMANOWICZ



Wynaleźliśmy piekło

Facet, który w miejscach publicznych demonstruje dobrobyt rozrzucając skórki od banana, naraża bliźnich na zwichnięcie kończyn, udar mózgu i złamanie serca. Najbardziej niebezpieczny jest dla siebie samego. Nawet nie będzie wiedział, kiedy, gdzie i przez kogo zostanie zabity sztyltem zardzewiałym.

Skórka od banana jest dziś tym, czym była rekwizycja rycerza, właściwie użyta — wyzwaniem na udeptanie ziemi. Prawda, wszyscy mamy jednakowe żołądki. Ci, których miesięczna gratyfikacja nie pozwala na związane końca z końcem nie są w stanie pojąć, że oto w naszej siermiężnej rzeczywistości jest ktoś, kto owoce południowe jada bez wstydu a na dodatek jeszcze, prezentując wybujały indywidualizm, nie zaprasza do swego stołu szerokiego grona osób z jednakowymi żołądkami.

Do faceta jedzącemu banany można się odnieść w dwojaki sposób. Pierwszy polegałby na wyłączeniu wszystkich wniosków ze stwierdzenia — on ma dobrze! Dlaczego ja mam mieć źle? Postawa taka w samym założeniu jest humanistyczna, nie potępia człowieka ciężającego się dobrobytem i wreszcie jest samozachętą do odbicia się od dna. Jej realizacja, eksploatacja energii życiowej, przedsiębiorczości, chęci podejmowania ryzyka, sama przez się byłaby tym, czego pragną Polacy; wybieciami się spośród tłumy, samorealizacją przez żywienie się bananami. Sposób ten w naszych warunkach ma wymiar ściśle teoretyczny. Historia, nauczycielka życia, daje rzadkie przykłady afirmowania sukcesu przez zrobienie biznesu. Wolimy Złobochów, którzy źle wyszli na mydle, od Stasziców, którzy oprócz tego, że byli duchownymi, działaczami społecznymi, bardzo dobrze poruszali się w świecie interesów.

Drugi możliwy sposób odniesienia się do faceta z bananami jest o wiele powszechniejszy, ba! dominujący kiedyś i teraz. Polega on na werbalnym potępieniu parweniuszowskiego dobrobytu, który na łozu śmierci skarzył się Mu, że pozostawia śmieci materialnie niezabezpieczone, pogrążone w nędzy. — Kup los! daj mi szansę! mówił Bóg a ja nie wiem, czy ją otrzymał, bo być może biedak i jego rodzina byli do swego statusu przystosowani a narzekania były takie ot sobie, rutynowe.

— Czy my wszyscy pragniemy wyjść z kryzysu?

Zadność i zawiść jest budulcem, z którego zbudowane jest nasze piekło. Są to cechy charakterologiczne czyniące życie nieznośnym nie tylko w obecnych warunkach.

Zawiść i zazdrość jest potwornym uprzykrzeniem w stosunkach człowieka z człowiekiem. I nie tylko: robotnicy mistyfikują sytuację materialną mieszkańców wsi. Patrzą na chłopaka jak by to on i jego rodzina w wolnych chwilach znosił jąka po czterdziestu złotych sztuka. Chłopi, łapiący się za głowę przy zakupie ciagnika „Urus”, też są ekonomistami od pana Zagłoby. I wysyłają synów w szeregi klasy robotniczej, po to aby z jej dobrobytu im również coś kapnęło. I chłopi, i robotnicy kosożerką w stronę inteligencji. Uważają za zupełną bzdurę to, że docent zarabia mniej od kombinisty i murarza. Skłócenie trzech filarów, na których opiera się nasza budowa społeczna, jest ostatnim prezen-

tem od epoki stalinizmu, który gdyby się ostał, mógłby skutecznie prosperować realizując zasadę dzielenia i rządzenia z ochłapem igrzysk od czasu do czasu. W sytuacji skłócenia klas społecznych, przecież nie antagonistycznych, trudno o rozsądną, aprobowaną przynajmniej przez minimalną większość, politykę.

Pytanie: czy istnieje racjonalna polityka wobec miasta Zielonej Góry? Teoretycznie niewątpliwie tak. Jaka ta polityka jest, każdy może wiedzieć. Z doktryny równego, sprawiedliwego dzielenia jednego bochenka chleba — budżetu województwa, realizowanej przez lat kilkadziesiąt, ukształtowało się miasto, relatywnie nienajgorsze, ze skromnymi bytunkami urzędów. Gdzie im tam do Nowakminia! różnicowa nymi strukturami ekonomicznymi, kulturalnymi, oświatowymi, porządnymi sądami, wytwornym arestem śledczym. Ponieważ wszyscy mamy jednakowe żołądki, sprawiedliwe dzielenie przyczylnio do proporcjonalnego rozwoju środowiska. Gdzieś wybudowano przystanek autobusowy, komus kupiono karetkę pogotowia, inny otrzymał piwnicę. Zapewne jest w województwie dziura, w której przez 44 lata nie zrobiono nic, ale ile takich dziurek jest? Na policzenie potrzebna jedna ręka czy obie? Wojewoda zielonogórski powiada, że moment zrównoważenia budżetu województwa, zbilansowanie dochodów z wydatkami się przybliży. Pewnie trzeba się z tego cieszyć. Czy aby na pewno? Poleganie tylko na sobie, na swoich możliwościach, może przecież ograniczyć rozwój. Polska jest obecnie Zaduپیem Europy. Być Zaduپیem Zaduپیem?

Prawie półmilionowej społeczności środkowego Nadodrza (patrz: Ziemia Lubuska — piękna, gospodarna i kulturalna) powinno zależeć o rozwoju Zielonej Góry. Dzieci z regionu powinny mieć perspektywę porządną na uki realizowanej w godziwych warunkach w stolicy województwa. Chorzy powinni mieć prawo do pomocy najlepszych specjalistów mieszkających i pracujących w Zielonej Górze. Do tego miasta powinno się z przyjemnością jeździć po zakupy, na interesujące koncerty, przedstawienia, imprezy sportowe. Wreszcie tu, w Zielonej Górze, powinny powstawać projekty architektoniczne, koncepcje wnętrz lokali publicznych, z których dumne byłoby także Krosno Odrzańskie. Ze stolicy regionu powinien iść wzór godny naśladowania, nawet w sprawowaniu urzędu. W pewnym zakresie Ziemia Góra wszystkie te przypisane jej funkcje spełnia, ale czy czyni to w spodziewanym zakresie, na miarę potrzeb Szprotawy i Zagania, należałoby zapytać mieszkańców tych miast. I wątpię, czy odpowiedzi byłyby optymistyczne. Być może w ogóle by jej nie było. Otrzymałoby — być może — listę potrzeb miejscowych, których zaspokojenie wymagałoby dziesięcioleci pracy i wielkich kapitałów. Jeśli można sobie wyobrazić model stolicy średniego województwa, spełniającego określone funkcje nie tylko wobec jego mieszkańców, ale i regionu, jest hipotetyczna, która dopiero trzeba stworzyć.

W rodzących się realiach gospodarczych, doktryna równego podziału jest anachronizmem. W realiach społecznych brak obecnie przesłanek, aby zstąpić jak nowym podejściem: znów jesteśmy w polskim piekło, gdzie nie potrzeba dostawców smoly i diabelskich dyżurów.

RYSZARD ROWIŃSKI

Moja Głina 4ki

DO GAZU? Jak podają „Polityka” (nr 4) w swej rubryce „Coś z życia”, w Świebie dokonano masowego morderstwa. „Aby nie dopuścić do obniżenia ceny (nadprodukcja) kurecząt, piskląt indyków i gęsi zagazowano 46 tys. sztuk drobiu. Gdzie? W Lubuskiej Zakładach Drobiarskich w Świebodzinie. Komentarz, a właściwie wniosek w tej sprawie nie do nas należą”. I do nas też. Choć wiadomo jest, że to bulwersująca, że aż nieprawdopodobna...

EROTYKA Z GORZOWA. W XXII zeszytach „Integracji” wśród wielu ciekawych publikacji znajdujemy piękne liryki Beaty Ananiewicz-Szmida z Gorzowa. Spodobał się nam zwłaszcza erotyk bez tytułu, zaczynający się od słów: „W każdej chwili mogę / pochylić czoło bezbronne / byś mnie zranił / W każdej chwili mogę / stokrotnie bogatsza o ranę / łamać się z tobą chlebem / i plynąć obok z nową zmarszczką / wokół ust...”. No, i proszę. A jeszcze niedawno pisałam, że erotyka zajmują się wyłącznie zielonogórscy poeci, natomiast w Gorzowie istnieje pustynia liryki miłosnej.

POETA WYJECHAŁ? W komunikacie o rozstrzygnięciu gorzowskiego konkursu na reportaż i opowiadanie ogłoszonym m.in. w „Stilonie Gorzowskim” (nr 3) czytamy: „Przynano także 3 wyróżnienia: Alfredowi Slateckiemu z Zielonej Góry oraz Mieczysławowi Warszawskiemu z Cerkwi (woj. poznański)”. Niestety, nie dowiedzieliśmy się, kto został trzecim laureatem. Natomiast dowiedzieliśmy się, że poeta i prozaiarz Mieczysław J. Warszawski wyjechał z Zielonej Góry gdzieś w Poznańskie. A przecież nie dalej jak wczoraj widzieliśmy go na zielonogórskim deptaku, poszukującego piwa.

ANEKS DO REFORMY. Prozaik i felietonista Piotr Wojciechowski na łamach „Przeglądu Katolickiego” (nr 6) formułuje swoje rady dla polskich ekonomistów, przeprowadzających reformę gospodarczą: „Tempo przemian ogromne. Nie tak dawno na domu towarowym „Smyk” dostrzegłem transparent „Skus towarów pochodzenia zagranicznego”. To jest w końcu krok naprzód. Sprzedawanie towarów w sklepach powinno na stałe być skreślone, sklepy i domy

towarowe powinny stać się miejscami skupu i tylko skupu. Oczywiście w tym celu wszyscy powinniśmy dostawać wyplatę w towarach zagranicznych. Biegłoby się potem do „Centrum” czy „Smyka”, sprzedawało wyplatę za złotówki, kupowało za nie bony pod „pewexem”, w „pewexie” kupowało mleko, chleb, salceson i pończochy, i z siatkami pełnymi radosnych zakupów szło spokojnie do domu, szerokimi, dobrze oświetlonymi tunelami metra. Wszystko jest do załatwienia, czy tylko budowniczości metra będą gotowi na czas?”. Pocięzamy autora: podobno budowa metra przebiega zgodnie z harmonogramem. Tylko — skąd wziąć bony?

POLSKA POEZJA W WILNIE. W 11 zeszytach „Poezji” (z ub. roku) Eugeniusz Kurzawa publikuje szkice o polskiej poezji na Wileńszczyźnie, wspominając o dwóch antologiach: „Sponad Willi cichych fal” i „Współczesna polska poezja Wileńszczyzny”. Pisze m.in. „Formalne i przyjacielskie kontakty utrzymują literaci zielonogórscy, niezmierznie cenna jest działalność Krzysztofa Woźniakowskiego...”. Wszystko się zgadza, ale ponieważ nie zauważyliśmy w tekście Kurzawy nazwiska Henryka Szykły, to warto przy okazji podkreślić jego niezwykle zaangażowanie w rozwijaniu współpracy z polskimi poetami Wilna. Henryk Szykły z Zielonej Góry nie tylko dopomaga w promocji literackiej wierszy powstających nad Wilnią, ale z żywczą siłą zachęca do pisania i uczestniczy w warsztatowych dyskusjach. Zyskał sympatie, co godne wydaje się podkreślenia. Ale Bożena Kowaszewicz w tym samym n-rze „Poezji” w tekście „Taką widzę moja poezję...” raczyła zauważyć: „Natomiast poeta z Zielonej Góry — Henryk Szykły (błąd w pisowni nazwiska — nasz przyp.) pracował nad publikacją precedensową na Litwie Radzieckiej: pierwszemu oryginalnym wyborem wierszy w języku polskim w okresie powojennym”. Chodzi oczywiście o antologię wierszy 15 autorów pt. „Sponad Willi cichych fal”. I to jest rzetelna informacja, w przeciwieństwie do niepełnej informacji E. Kurzawy.

NIE DO SMIECHU. W 6 n-rze „Przeglądu Tygodniowego” Andrzej Zięba w felietonie zatytułowanym „Dobre się broni” pisze m.in.: „Emigracyjny ten pisarz (chodzi o Miłosa — nasz przyp.) znany jest w PRL dzięki artykułowi w tygodniku „Perspektywy” z lata 1934 roku. Przypomnę jego tezę: nieszczerze dla Polski stało się, że za dobre go pisarza uznawany jest autor książki opluwającej socjalizm (...) Podejrzewam,